

Z Renatą Marsch-Potocką

rozmawia Wiesław Horabik

str. 2-3

Co kto czyta?

str. 5

**Cholerny
Rambo!**

**Pistolet
zamiast
pięści**

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7103 Nr Ind. 362514

Kamena

NR 3 (901)

7 lutego 1988

Cena 20 zł

str. 10

Wybic się na niepodległość

Pod hasłem odwołującym się do słynnej broszury Tadeusza Kościuszki pt. „Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość?” publikujemy cykl esejów historycznych, związanych z czynem zbrojnym i staraniami Polaków (po wybuchu I wojny światowej) o odzyskanie suwerennej państwowości, które dokonało się, choć nie ostatecznie, w listopadzie 1918 roku (następnie trzeba było wywalczyć granice). Do wypowiedzenia się o tych sprawach zaprosiliśmy profesjonalistów — historyków z Uniwersytetu Im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Ale cykl ma charakter otwarty — będziemy drukować każdą poważną polemikę, każde istotne uzupełnienie. Zachęcamy też czytelników do poszperania w rodzinnych archiwach, może tam zachowały się jakieś relacje, fotografie czy inne dokumenty, dotyczące czasów wykluwania się naszego państwa po 1914 roku. Również i dla tego rodzaju materiałów chętnie znajdziemy miejsce (i honorarium) w ramach prezentowanego cyklu.

(red.)



Reprodukcja: Przemysław Ostrzyżek

Z kim i przeciw komu?

Jan Lewandowski

LISTOPAD 1918 r. — „wybuch niepodległości” — poprzedziły cztery lata „wielkiej wojny”, w czasie których wiara Polaków w uzyskanie własnej państwowości została wystawiona na wiele ciężkich prób.

W drugiej połowie 1918 r. dla czynnych uczestników życia politycznego było oczywiste, że „będzie Polska”. Rozwiązanie tej najważniejszej niewiadomej stwarzało jednak mnóstwo następných. Jeśli próbować szukać dla nich wspólnego mianownika, to może nim być pytanie — jaka Polska?

W jakim kształcie terytorialnym, z jakim ustrojem społeczno-politycznym, z jakim zakresem suwerenności, z kim wreszcie i przeciw komu wywalczona?

Pytania te stanęły przed głównymi aktorami polskiej sceny politycznej jeszcze przed sierpniem 1914 r. Wybuch wojny stanowił wprawdzie zaskoczenie, ale wojna nie była niespodzianką. Rachuby związane z oczekiwanym konfliktem między zaborcami, spowodowały podział aktywnej politycznej części społeczeństwa polskiego na przeciwnie orientacje polityczne, które odmiennie oceniały szanse zwycięstwa walczących stron i w zależności od tych ocen projektowały powojenne losy Polski. Na rachuby te rzutowały dotychczasowe programy i działania poszczególnych ugrupowań, a także ich stosunek do każdego z zaborców.

Dokończenie na str. 9

z notatnika

19 I. Bardzo interesujący tekst pt. „Co na to powie zagranica?” ukazał się na łamach moskiewskiej „Izwestii”. N. Proszunin, autor artykułu, pisze, że pojawia się coraz więcej głosów, twierdzących, iż mówienie o błędach przeszłości i obecnych niedostatkach stanowi wodę na młyn wrogiej propagandy. Wielu ludzi jest szczerze zaniepokojonych, iż głośne mówienie o własnych problemach może dostarczyć przeciwnikom ideologicznym argumentów do wykrzykiwania o rzekomym kryzysie socjalizmu, o fiasku przebudowy. Charakterystyczne, że hasło „co powie zagranica” najczęściej puszczają jednak w obieg adresaci krytycznych uwag. W odpowiedzi na kierowane pod ich adresem słuszne żądania, twierdzą, że jest to podważanie zasad, które przynosi szkodę całemu społeczeństwu. Utożsamiają oni prestiż osobisty, prestiż urzędu z prestiżem państwa.

Autor podkreśla, że biurokraci, nie mówiąc już o różnego rodzaju kombinatorach, są faktycznymi przeciwnikami jawności. Ludzie radziecy są za interesowani tym, by na świecie rzadko licza sympatyków i przyjaciół Związku Radzieckiego, ale jednocześnie pragną pokazać rzeczywisty obraz własnego kraju, by poznano go i pokochano takimi, jaki jest.

N. Proszunin stwierdza, że w dalszym ciągu nie można się odważyć na krytykę dzieł wybitnych pisarzy, ponieważ ich nazwiska znane są na świecie. Nie można wypowiedzieć się na temat kiepskiej powieści, gdyż jej autor, zasłużony i odznaczony wieloma orderami, zaraz zapyta: „a komu to ma służyć?”. Kiedy pewien tygodnik odważył się na krytyczną ocenę jednego z autorów, postawiono redakcji zarzut „dążenia do dyskredytacji literatury radzieckiej”.

W konkluzji autor dochodzi do wniosku, że nie należy oglądać się na opinie zagranicy, lecz uczyć się od Lenina, jak w twórczy sposób rozwiązywać własne problemy. Śmieć boi się wyrażać tylko ten, kto poza śmieciami niczego więcej nie ma. „Jesteśmy na tyle bogaci w pozytywne osiągnięcia, że możemy sobie pozwolić na ten porządek”.

„Komu to ma służyć?”. Skąd ja to znam? Bodaj siedemnaście lat temu pewien dziennikarz (lubimy się, więc nazwiska nie wymienię, zresztą sądzę, że i on dziś myśli inaczej) też pytał, komu służy niektóre publikacje na łamach „Kamenu”. Pamiętam, że odpowiedziałem, komu nie służą, m. in. bandzie Czang Kaj-szeka na Tajwanie.

Stare dzieje, ale, jak widać, pewne pytania zachowują nieśmiertelność!

24 I. Stanisław Fornal wyłapał piękne myśli dziennikarskie. Z lamów i z fal. Przytacza je na łamach pierwszego, tegorocznego numeru miesięcznika „Prasa Polska”. Posłuchajmy: ◆ No, więc rozstrzelali się zawodnicy... ◆ Czy kwiaty są przywiązane do pewnych uroczystości? ◆ Miałem moment złapania klimatu na pióro ◆ Partycypowało w tym lubie bramkowych aż sześć osób ◆ Geldy, które cieszą się dużym powodzeniem dla niemowlaków do jedenastego roku życia ◆ Jest to bardzo zwięzłe kompendium napisane bardzo współczesnymi oczami ◆ Będzie stosowana jeszcze szersza niż dziś paleta przeżywania ◆ Lot krajowy odbywa się w złołówkach ◆ Mu-

simy przedsięwzięcia działania na rzecz uśmiechu dziecka ◆ Dobięga końca spotkanie, które przysporzyło wszystkim o drobny niesmak ◆ A co będziemy robić w dłuższym horyzoncie bieżącego roku?

Nie jest trudno przedsięwzięcia działania na rzecz uśmiechu czytelnika bądź słuchacza. Dobrze, że Staszek Fornal znajduje czas, by owe perełki ocalić od zapomnienia, obawiam się jednak, że jego głos to głos wołającego na puszczy. A papier czy mikrofon jest bardzo cierpliwy.

30 I. I teraz wszystko już jest jasne: właśnie dziś wieczorem szczegółowo dowiedzieliśmy się, jakie będą w tym roku podwyżki, a jakie rekompensaty. Tym razem kiedy rząd pracuje przy otwartej kurtynie, kiedy każdy mógł się wypowiedzieć w referendum, nie powinno być żadnego zaskoczenia, aczkolwiek, oczywiście, nie można generalizować. Niemniej run na sklepy trwał już od dłuższego czasu, pracownicy handlu padali ze zmęczenia, a kasjerki w sklepach samoobsługowych z trudem mogły wyskoczyć za własną potrzebą. W piątek w niektórych sklepach ograniczono sprzedaż masła do dwóch kostek, a cukru do dwóch kilogramów. Klient przychodził, płacił i wracał po kilku czy kilkunastu minutach, aby zaopatrzyć się ponownie. Ten run na cukier trwał już zresztą od dobrych kilku miesięcy. Ba, żeby tylko na cukier!

Nie będę tu rozdierał szat, bo trudno się ludziom dziwić. Ostatecznie lepiej kupić dzisiaj taniej niż jutro drożej. Mam teraz nadzieję, że rynek narzeszcie się uspokoi, chociaż na pewno nie tak jak byłoby w przypadku realizowania pierwszego, bardziej zdecydowanego, wariantu podwyżkowego. Skoro jednak takie a nie inne były wyniki referendum i skoro tak wysoko zarzucono poprzeczkę...

Rzecz zrozumiała, że podwyżki cen bulwersują najbardziej, ale przecież one stanowią tylko jeden z elementów realizowanej reformy gospodarczej...

Pisze na łamach ostatniej „Polityki” Zygmunt Szeliga:

„...jawi mi się cokolwiek przewrotna wizja swobodnego przekształcenia słabości gospodarki w jej siłę. Słabością w tym przypadku jest osławiona luka inflacyjna: 500 mld zł nadwyżki w kieszeniach obywateli, a jeśli doliczyć luki z lat poprzednich, to już znacznie więcej. Dlaczego wszakże ta luka ma biernie czekać aż zostanie wypelniona towarami i usługami? Skończmy wreszcie nie kończące się dyskusje o obligacjach i akcjach: dajmy każdemu przedsiębiorstwu, które ma możliwości jakiegokolwiek ekspansji, a brakuje mu środków — zdobycia tych środków w drodze emisji akcji. Rozkręćmy — w gminach, miastach, województwach — tysiące inicjatyw założycielskich: państwowych, spółdzielczych, prywatnych, mieszanych. Niech powstają firmy angażujące bezproduktywne pieniądze, przekształcające je w kapitał, angażujące pracę, produkujące towary, handlujące, świadczące usługi...”

Piękna to wizja, ale najpierw trzeba każdego człowieka z inicjatywą przekonać że, jeśli w cokolwiek mądrze zainwestuje, to nie straci, nikt mu nie

lupnie domiarów, nie będzie ciepło zamiast pomagać. Niestety, nauki z przeszłości nie są zbyt optymistyczne, a pamięć ludzka długa. Wyrosło też nowe pokolenie, które często zbyt idealistycznie podchodzi do praw ekonomicznych...

Temat — rzeka, ale pływać warto, ucząc się początkowo na niezbyt głębokiej wodzie!

31 I. „Zostaliśmy zdemoralizowani — pisze — w sobotnim numerze „Trybuny Ludu” Kazimierz Koźniewski (podziwiam pana Kazimierza: ciągle pisze, uparcie broni swoich poglądów, to i literat i dziennikarz z pazurem!) — sukcesem książki w Polsce Ludowej! Teraz musimy odnaleźć prawdziwe proporcje i odzyskać z powrotem rozpadającą się organizację i ruch wydawniczy i księgarski. Literaci, pisząc swe książki, muszą myśleć o czytelnikach, jeżeli chcą żyć z literaturą, a nie tylko liczyć na wielki triumf u potomnych (co też zresztą jest istotnym motorem sztuki i nie trzeba takich książek skazywać na szuflady, tylko trzeba je tak wydawać, by zyski z powieści Fleszarowej pokrywały straty, ponoszone na niskonakładowym wydawaniu nowych Joyce'ów”.

Koźniewski chwali „Wydawnictwo Literackie” za decyzję o pozbyciu się starych zapasów książkowych, choć z uwagi na sytuację panującą w magazynach „Składnicy” wyraża obawę czy uda się ją zrealizować.

Tymczasem zaglądam do lubelskich księgarni i widzę stopy książek przecenionych. Wczoraj — 500 zł, dzisiaj — 100 zł. Obniżka w wysokości 80 procent, a więc ogromna, a przecież i złotówka już nieco inna: lżejsza... Nazwiska autorów i wielkie, i małe, i małutkie — gilotyna tnie równo. Kiedy jednak biorę taką jedną, czy drugą książkę do ręki i zatrzymując wzrok na pozycji „nakład”, widzę np. liczbę 30 tysięcy, czy 50 tysięcy ogarnia mnie zdumienie, że wydawca zaplanował taką niebotyczną produkcję? Kto kupi numer X-a czy Y-a? (Nie wymieniam żadnych nazwisk, ale przecież wystarczy wstąpić do księgarni i samemu to i owo obejrzeć...)

Oczywiście wydawnictwa ocknęły się i teraz dobrze wiedzą, co się święci. Są wypadki, że nawet książki przyjęte do druku, za które wyplacono honoraria, nie ujrzą światła dziennego. Być może, że niekiedy ta kolejna decyzja okaże się niezbyt przemyślana, ale dmucha się teraz na zimne...

1 II. „Moja prasówka” — czyli wymienienie nazwisk i imion 69 autorów, głównie dziennikarzy, których teksty czytuje „Flesz” ze „Szpilek”. Lublin reprezentują: Krzysztof Pytel i niżej podpisany, mój notatnik więc to nie tylko gadanie do lamary. A swoją drogą na tej liście jest i Daniel Parsent, i Zdzisław Pietrasik, i Stefan Kisielewski, i Krystyna Zielińska, i Marek Kasz, ale nie spozostęgnę KTT. Chyba nie dlatego, że kiedyś szefował w „Sapilkach”?

Gdybym ja taką listę sporządził, większość nazwisk byłaby ta sama, ale z lokalnego patriotyzmu dodałbym i Franciszka Piątkowskiego. Właśnie na łamach magazynu „Sztandar Ludu” przeczytałem, co ma do powiedzenia na temat Marii Bechcysz-Rudnickiej, której krzyk słyszy z taśmy magnetofonowej.

Znałem panią Marię lat trzydzieści cztery, Zygmunt Mikulski znał ją lat trzydzieści siedem, ale jakoś nigdy nie zauważyliśmy, aby kiedykolwiek krzyczała. Ciekawe, co ją tak mogło zdenerwować?

M. A. Jaworski

— Jestem z wykształcenia prawnikiem. Pokoleńowo należę do czasów tuż przedhippisowskich. Już na studiach irytowała mnie ówczesna pogoda naszego zachodniemieckiego społeczeństwa wyłącznie za dobrami konsumpcyjnymi. Po egzaminach kofcowych wzięłam więc pociąg i pojechałam autostopem do Paryża. Chciałam się dowartościować. Marzyła mi się romantyczna kariera poetki. Nie znalazłam wówczas francuskiego, ani też nie posiadałam większej gotówki, na uczelnę pobierałam stypendium. Wkrótce życie paryskie, po pierwszym okresie fascynacji, zaczęło mnie nudzić. Czas spędzało się tam głównie na przesiadywaniu w kawiarniach i nie kończących się dysputach. Pewnego dnia naprawdę skończyły mi się pieniądze. Zaczęłam więc przesiadywać książkę telefoniczną, by znaleźć jakieś dorywcze miejsce pracy. Zadzwoeniłam między innymi do Deutsche Presse Agentur. Powiedziano mi, że będę mogła znaleźć tam zatrudnienie jako sekretarka w okresie letnich urlopow. I tak się też stało. Wkrótce potem rozpoczęły się procesy Algerie Francais, Francuzów, którzy próbowali podnieść w Algierii bunt przeciwko generałowi de Gaulle. Ponieważ ukończyłam prawo, zaproszono mnie do dziennikarskiego śledzenia tych procesów. Następnie była już praca w centrali w Hamburgu, a w 1965 roku otworzył się wakat na stanowisko korespondenta w Warszawie. Zainteresowała mnie to. Polska uchodziła wówczas za bardzo trudną placówkę. Przeszłość wojenna była wciąż jeszcze żywa, warunki bytowania trudne, a swobody dziennikarskie o wiele bardziej ograniczone niż obecnie.

W rozmowie z Renatą Marsch, w odróżnieniu od moich rozmów z innymi korespondentami zagranicznymi, bieżące sprawy polityczne i społeczne zeszły na plan dalszy. Ich miejsce zajęły narodowe resentymenty, polsko-niemieckie zaskłości, historia bliższa i dalsza. Nie mogło być chyba inaczej, gdyż Polaków zawsze będzie interesowało to, co robią Niemcy.

— No właśnie, pani Renato, co robią i jacy są współcześni Niemcy? Co wiedzą o Polsce i jak widzą swoje miejsce w Europie?

— Polskę widzą zupełnie inaczej niż niegdyś. Na ogół przeważa przychylny klimat wobec waszego kraju i jego mieszkańców. Dzieje się tak za sprawą nowego pokolenia. Ono nie chce być już obciążone wojną swoich „dziadków”. Tamten czas uważa za nie najważniejszą dla siebie sprawę. Stąd i na młodych Polaków patrzy tak samo jak na młodych Francuzów czy obywateli innych krajów. Obawiam się tylko, że ten polepszający się stale klimat może zostać zakłócony z powodu rozrostu ostatnio polskiej imigracji do RFN. Wśród turystów jest bowiem wielu cwaniaków, handlarzy, ludzi podejmujących nielegalnie pracę. A bezrobocie w Republice Federalnej to poważny problem. Dochodzi do tego także ów bezustanny handel „iurystyczny” Polaków. Pojawiają się więc pewne zakłócenia we wzajemnych stosunkach, ale ich podłoże jest zupełnie inne niż dawniej. Mieści się wyłącznie w obszarze ekonomii.

— Czy tak bogaty kraj jak RFN może zubożeć z powodu wykupowania towarów przez Polaków?

— Nie, nie. Wykupowanie towarów to jest handel, to jest business. Nasi producenci są z tego bardzo zadowoleni. Chodzi mi tu o takie rzeczy jak szmuglowanie papierosów i wódki do RFN, by tam sprzedać te towary z zyskiem. W sumie jednak to i tak sprawa marginalna. Najpoważniejszym problemem pozostaje kwestia nielegalnej pracy. Nie ukrywam, że rodzi to wśród Niemców pewne rozdrażnienie.

— Czy sądzi pani, że nie ma w tym wszystkim innych, narodowych, podtekstów? Na przykład Anglicy, nawet jeśli uważają, że cudzoziemiec nie jest u nich zbyt mile widziany, nigdy mu tego nie okażą. Natomiast pojęcie „gastarbeiters” ze wszystkimi tego implikacjami występuje właśnie w RFN.

— Ja powiedziałabym, że jest zupełnie odwrotnie, że to właśnie u nas istnieje otwarcie w stosunku do cudzoziemców. Spędziłam dość długi okres czasu we Francji i wiem, że być tam Algierczykiem czy Marokań-

KRONIKA KULTURALNA

W setną rocznicę urodzin Marii Bechcysz-Rudnickiej w Teatrze Im. Osterwy odbył się wieczór, poświęcony Jej pamięci.

23 stycznia w siedzibie Muzeum Im. Józefa Czechowicza otwarto „Małą Galerię Grafiki”. Premierową wystawę autoryzował Wiesław Dembaki, artysta z Gdanska.

Ambasador Józef Klasa, prof. Zdzisław Cackowski i prof. Wiesław Skrzydło przewodniczyli posiedzeniu Rady Naukowo-Programowej Polonijnego Centrum Kulturalno-

no-Oświatowego UMCS i Towarzystwa „Polonia”, które odbyło się 22 stycznia. Wrecono nominacje na członków Rady której przewodniczącą została po raz kolejny prof. W. Skrzydło.

Z trzygodzinnym koncertem wystąpiła w Lublinie Państwowa Mała Orkiestra Symfoniczna ZSRR, prowadzona przez Jurija Simonowa. Były owacje.

„Uczniak” to jedyny tego typu w regionie, a może i w kraju, pismo wychodzące od wielu lat i przygotowywane przez sekcję redakcyjną Samorządu Szkolnego w Szkole Podstawowej nr 6 w Lublinie. W ostatnim numerze m. in. wywiad z wojewodą Tadeuszem Wilkiem, przeprowadzony przez uczennicę klasy VIII, i taki dowcip: „Nauczyciel zagna się z uczniami. — Zyczą wam, dzieci, dużo przygód i abyście po wakacjach wrócili do szkoły mądrzejsze. — Nawzajem, panie profesorze — zgodnie odpowiadali dzieci”. Dobrze!

Konkurs „Primus Inter Pares” organizowany przez Radę Uczelnianą ZSP przy UMCS, wyłonił najlepszych studentów uni-

wersytetu w roku akademickim 1966/67. Oto ich nazwiska: Włodzimierz Wawulski, Iwona Bruchala, Andrzej Bogusz, Kamila Rachwał, Andrzej Bojanek, Andrzej Nieradka, Janina Dąbska.

Świetna wystawa fotograficzna „Fotosyntez” Krzysztofa Pruszkowskiego można oglądać w Galerii Grodzkiej na lubelskim Starym Mieście. Doskonale to miejsce do kontemplacji, bo zwykle puste.

Kto interesuje się sztuką artystycznym, ten powinien odwiedzić muzeum we Włodawie, gdzie prezentowana jest właśnie wystawa Wiesława Sawczuka z Warszawy.

Scena Plastyczna KUL przedstawiła w Helińskich spektakl Leszka Mądziaka „Wilgoć”.

Piętnasta z kolei grupa pracowników nauki UMCS przebywa w Leck Haven University (USA), a w początkach lutego pojawią się w Lublinie studenci tej amerykańskiej uczelni. Współpraca obu uniwersytetów trwa już ponad 10 lat.

czykiem to naprawdę strasne. Chcę przy tym uściślić jeszcze sprawę polskiej emigracji. W Polsce jest bardzo łatwo uzyskać zachodniomiecką wizę. Na to nie potrzeba nawet zaproszenia. Sam ruch turystyczny w tym kierunku jest dobrze przez Niemców widziany. Dotyczy to zresztą także przyjazdów obywateli RFN tutaj. Moi siostrzeńcy odwiedzający Polskę czują się w niej bardzo dobrze. Podkreślają otwartość i życzliwość ludzi, ale wśród tej masy wędrujących zawsze znajdują się elementy trudne i nieodpowiedzialne. To tylko chciałam powiedzieć.

— Powróćmy jeszcze raz do przeszłości. Jest to bowiem, jak sądzę, ważne dla uwiarygodnienia narodowych postaw. Czy sądzi więc pani, że naród niemiecki zrozumiał już do końca fenomen hitlerizmu? Oglądając kiedyś w Londynie film „Swastyka” — zbitkę archiwalnych, prywatnych filmików Hitlera z Brechtsgaden — widziałem, jak obserwując jego mimikę i sposób gestykulowania, młodzi Anglicy raz po raz wybuchali śmiechem...

— Tak samo jak młodzi Niemcy. Oglądając tego typu filmy, zapytują oni: „Czy tamto pokolenie zwariowa-

przeszłości. Jak porównalaby pani te dwie dusze — polską i niemiecką?

— Ja nie lubię mówić o tych dwóch duszach. Takie mówienie zakłada bowiem od razu proces wartościowania. My jesteśmy tacy a wy inni. Wszystko zaczęło się właśnie od tego, od podobnego definiowania. Może istotnie więcej romantyzmu tkwi w Polakach, więcej obciążenia historią (rozbiory, potem terror hitlerowski itd.), uważam wszakże, że sprawa zależy przede wszystkim od warunków życia, od wychowania, od okoliczności. Na przykład w Zagłębiu Ruhry duża część mieszkańców to Polacy lub ludzie polskiego pochodzenia. Zachowują się oni dokładnie tak samo jak ich sąsiedzi Müllerowie czy Schmidowie. No, może z wyjątkiem tego, że są odrobinę bardziej katolicki i może nieco bardziej lubią mocne trunki. Nie sądzę jednak, aby istota sprawy ukrywała się tu w obszarze duszy.

— Czy fakt, że jest pan korespondentem zachodniemieckim w Polsce, ułatwia czy utrudnia pani pracę w zakresie kontaktów międzyludzkich? A może jest to sprawa zupełnie bez znaczenia...

— Może zmienimy teraz temat i przejdziemy na chwilę do zagadnień związanych z naszym zawodem. Wtorkowe konferencje Jerzego Urbana są często miejscem polemik i werbalnych konfrontacji ministra z dziennikarzami zachodnimi. Problem zawodowej uczciwości pojawia się na nich bezustannie. Jak rozumie pani dziennikarski nakaz obiektywizmu w przekazywaniu informacji i jak ocenia pani miejsce owych wtorkowych spotkań w obszarze życia politycznego w Polsce?

— Myślę, że najpierw należałoby odpowiedzieć sobie na pytanie, co to jest uczciwość dziennikarska. Sądzę, że przede wszystkim oznacza ona uczciwość wobec samego siebie, pisanie o wszystkim, co wydaje nam się ważne, bez pomijania żadnych istotnych faktów. Podam panu taki przykład: jeśli Oświęcim odwiedzają laureaci nagrody Nobla i telewizja pomija ten fakt (...) — to nie jest to dobre. Co zaś do miejsca konferencji ministra Urbana w życiu politycznym Polski... Sądzę, że spotkania te są ważne, gdyż dostarczają nam zawsze pewnych informacji. Chodzi tylko o to, że cza-

bezpieczeństwa zaś ukrywają się w trudnych działaniach ekonomicznych — w podwyżkach cen, ale nade wszystko w rozciąganiu reformy w czasie. Muszę wyznać, że nie jestem w tym względzie optymistką.

— A wyniki referendum?

— Najbardziej zaskoczył mnie fakt, że je opublikowano. Ale przecież badania opinii publicznej już wcześniej sugerowały, że rezultat może być właśnie taki. Mówił o tym niejednokrotnie dyrektor Kwiatkowski z Centrum Badania Opinii Społecznej.

— Obawy o przyszłość ludzkiej wspólnoty pojawiają się już nie tylko w gabinetowych dywagacjach ludzi „wtajemniczonych”, ale widoczne są także w powszechnym poczuciu zagrożenia szerokich mas na całym świecie. Na czym polega, pani zdaniem, podstawowy konflikt współczesnej cywilizacji? Jakie są w tym względzie zagrożenia, a jakie nadzieje? Jak widzi pani przyszłość naszego globu?

— Myślę, że jaka będzie przyszłość naszego świata, nie wie nikt. Jest to pytanie tak obszerne i tak futurystyczne, że pozostaje jedynie możliwość spekulacji. Oczywiście, można mówić o pokoju, o rozbrojeniu itd. Ale to zaledwie niektóre podstawowe przesłanki. Natomiast istotny konflikt polityczny polega przede wszystkim na potęgującym się zderzeniu Północ — Południe. My, Europejczycy, bawimy się w rozmaite konflikty, choćby ideologiczne, które coraz bardziej stają się pseudokonfliktami, natomiast nie zwracamy uwagi na to, co dzieje się w Afryce czy w Azji. A tamtych zjawisk nie wolno nie doceniać.

— A konflikty świadomości, dylematy moralne?

— Widzi pan, cały dorobek kulturowy ludzkości pełen jest narzekania na te „okropne, nowe czasy”. Natomiast moja mała, prywatna nadzieja są właśnie obecne młode pokolenia. Weźmy choćby taką partię „Zielonych”. Ci ludzie próbują odwrócić społeczną uwagę od sfery czystej konsumpcji i skierować ją na problem zagrożenia ekologicznego, naszej osobistej wrażliwości, na sprawy podmiotowości człowieka. To bardzo ożywcze i pozytywne. A spontaniczne ruchy w obronie pokoju, w obronie własnej godności i własnych przekonań, choćby tutaj w Polsce... Przecież ci ludzie nie raz wiele ryzykują, a jednak konsekwentnie dążą do realizacji swoich ideałów i doskonałą swoje charaktery. Wszędzie na świecie istnieją młodzi ludzie pełni zapału i niewygasającego entuzjazmu. To właśnie stanowi niewątpliwą nadzieję ludzkości. Nie można tylko do tych pokoleń zwracać się dawnym, przestarzałym i zdewaluowanym językiem świadomości XIX-wiecznej. Nie można podejmować prób wpasowania ich w slogany, które okazały się wytarte.

— Kim jest Renate Marsch prywatnie? Jakie ma pani hobby i szczególnie zainteresowania? W pani pełnym nazwisku widnieje także polskobrzmiący człon...

— O mojej karierze zawodowej już mówiliśmy. Co do życia prywatnego nie chcę się nad tym szczególnie rozwodzić. Mogę tylko powiedzieć, że mam dwoje dzieci, męża poznałam tutaj w Polsce, a ślub braliśmy w okresie, kiedy kanclerz Brandt podpisywał w Warszawie układ o normalizacji stosunków między Polską, a RFN. Nasz związek miał więc być jakby praktycznym dowodem na polsko-niemieckie pojednanie. No cóż, stało się inaczej. Wówczas otrzymaliśmy jednak mnóstwo życzeń i gratulacji. Dzieci mają teraz matkę Niemkę i ojca Polaka. Noszą polskie nazwisko — Potocki. Mąż mój pochodzi bowiem z tej właśnie staropolskiej rodziny.

— Dziękuję pani bardzo za rozmowę i pozwól sobie wyrazić nadzieję, że owa zbieżność czasowa aktów polsko-niemieckiego pojednania — prywatnego i państwowego — nie mieści jednak w sobie determinanty ich przyszłego kształtu.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

„Nie lubię mówić o tych dwóch duszach”

ROZMOWA Z RENATĄ MARSCH-POTOCKĄ
KORRESPONDENTKĄ DEUTSCHE PRESSE AGENTUR W WARSZAWIE



to”. Problem ten zaczął się już w czasach mojej młodości. Nigdy do końca nie mogliśmy zrozumieć tamtych spraw. Najnowsze pokolenia interesują się tym okresem, dużo czytają na ten temat, ale ich mentalność jest już zupełnie zmieniona. Sądzę, że w przypadku najmłodszych generacji wiąże się to jakby z nowym poczuciem narodowym. Ja i moi rówieśnicy odrzuciliśmy kiedyś pojęcie ojczyzny, gdyż pod tym hasłem kryła się Trzecia Rzesza. Obecnie wielu młodych ludzi w RFN uświadomiło sobie ponownie przynależność do narodu. Przyjeżdżają oni tutaj, do Oświęcimia, w ramach Akcji Pokuta i przy innych okazjach. Dziwią się wówczas i nie mogą pojąć, jak do tego doszło.

— No właśnie, pani Renato, jak do tego doszło?

— Nie wiem, ja sama nie wiem. Pod koniec wojny miałam dziesięć lat. Oczywiście, mówi się o przesłankach ekonomicznych, politycznych itd. Ale tej sprawy nie można chyba zrozumieć do końca. Gdy rodzice mówili nam, że nie wiedzieli nic o Oświęcimiu, nie chcieliśmy im wierzyć. Teraz rozumiem, że wielu Niemców mogło o tym nie wiedzieć, bądź wiedzieć o tym nie chciało, ale przecież musieli zauważyć, że nagle ich żydowski sąsiad zniknął. Jest to ogromnie trudne do zdefiniowania. Jedno jest tylko jasne — wszelkie nacjonalizmy muszą zniknąć na zawsze z życia społeczeństw.

— W czasie moich kilku wizyt w Republice Federalnej zaobserwowałam, iż młodzi Niemcy są w sposobie bycia i zachowania w dużym stopniu zamerykanizowani. A jednak w stosunkach z nami ów przysłowiowy luz anglosaski w najbardziej nieoczekiwany momencie napotyka nagłe swój kres... Niemiecka sztuka jest ciężka i niemiecka architektura jest ciężka, a cały kraj jest tak czysty, że aż jakby odrobinę zbyt czysty. My także jesteśmy narodem ogromnie serio; nazywają nas nacją „samodzielającą się”, wlecznie grzebiącą się w dramatach

— Kiedy przyjechałam do Polski po raz pierwszy w 1965 roku, było bardzo trudno. Rany wojenne były wciąż bardzo świeże. Polacy utrzymywali wobec nas duży dystans i najpierw trzeba było ich przekonać, że nasze zamiary są uczciwe. My także czuliśmy się o wiele bardziej skrupowani samym faktem, że jesteśmy Niemcami. Muszę powiedzieć, że obecnie wszystko uległo znacznej zmianie. Ze strony młodzieży można nawet zauważyć pewną atmosferę przychylności. Starsze natomiast pokolenie, które tak strasznie cierpiało podczas okupacji, nadal zachowuje jeszcze sporą dozę rezerwy.

— Proszę pani, na mapie Europy istnieją obecnie dwa państwa niemieckie. Jak pani sądzi, czy już także dwa narody?

— To jest trudne pytanie. Czasem wydaje mi się, że tak, a czasem, że nie. Sądzę jednak, że naród nie rodzi się tak szybko. Ja na przykład spędziłam swoje dzieciństwo na terenie dzisiejszej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, obecnie jestem obywatelką Republiki Federalnej; czy czuję się inna? Myślę, że jest to sprawa pokoleń. Niemcy w NRD wychowują się trochę inaczej, mają już nawet nieco inny język. By przedstawić rzecz humorystycznie, na dom weekendowy mówią na przykład „dacza”...

— A Niemcy z RFN nazywają go po prostu „bungalow”.

— No, tak. Tak to właśnie wygląda. Wracając jednak do istoty sprawy, sądzę, że obecnie NRD jest chyba bardziej niemiecka niż RFN. W Republice Federalnej działają bowiem niezwykle silne wpływy amerykańskie, a także angielskie i francuskie. Młodzież ciągle podróżuje, wielu osiada na stałe za granicą. Nawet kuchnia się zmieniła. Więcej już w niej potraw włoskich czy francuskich niż narodowych. Słowem: rzeczywistość zachodnia jest może bardziej europejska, kosmopolityczna, podczas gdy w NRD w większym stopniu kulturowane są dawne formy narodowe.

sem minister Urban zapomina chyba, że są to konferencje prasowe i udziela nam długich lekcji bądź wygłasza obszernie referaty. Odnoszę niekiedy wrażenie, iż przygotowuje on te spotkania bardziej pod kątem rodzimych widzów niż korespondentów zagranicznych.

— Jak ocenia pani rolę i pozycję kobiet w naszym kraju? Które z ich ambicji i dążeń budzą pani szacunek, a co w ich sytuacji uważa pani za szczególnie trudne i bolesne?

— Kobiety w Polsce są bohaterami. Żywią dla nich ogromny podziw. Polskie społeczeństwo jest, jak sądzę, bardziej tradycyjne w podziale domowych zadań niż społeczeństwa innych krajów. Tutaj mężczyźni uważają za rzecz oczywistą, że kobieta gotuje, prowadzi dzieci do przedszkola, wystaje w tasiemcowych kolejkach i w ogóle organizuje całe rodzinne życie. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja kobiet na wsi. O godzinie dziesiątej czy jedenastej można często zauważyć mężczyzn zgrupowanych pod budką z piwem podczas, gdy na barki kobiety spada odpowiedzialność za całe gospodarstwo i dobytek. Jeśli przy tych wszystkich obciążeniach udaje się polskim kobietom zachować urodę i atrakcyjność, jest to już prawdziwy fenomen. Polskie kobiety są wspaniałe.

— Niedawno naród nasz wypowiedział się w powszechnym referendum na temat tempa, zakresu i jakości proponowanych przez rząd działań w ramach drugiego etapu reformy gospodarczej. Jako człowiek w pewnym sensie „z zewnątrz”, jak ocenia pani wyniki tego referendum i jakie rodzą się w związku z tym nadzieje, a jakie zagrożenia widzi pani dla polskiego życia społeczno-gospodarczego?

— Sądzę, że nadzieje tkwią przede wszystkim w obszarze większej demokracji. Już teraz daje się zauważyć jakby powolne zjawisko nabierania wiary w powodzenie zmian. Do pewnego stopnia zaciera się ta ogromna przepaść między „oni” i „my”, między władzą i społeczeństwem. Nie-

WSZEDLEM więc do hali wystawowej przy stacji metra Porte de Versailles i oniemiałem, bo zamiast koni rzewnie toczących okiem, zobaczyłem ogromne targowisko, rozłożone na powierzchni o rozmiarach boiska piłkarskiego, albo większych. Wszędzie, jak wzrokiem sięgnąć, barwiły się szeregi straganów, stoisk, przeróżnych ogródków handlowych, rozłożonych pod sznurak, jakby na planie gridu, z wyraźną troską o ekonomiczne wykorzystanie miejsca. Tędy i owędy, dukając alejki niespiesznie przesuwały się tłumy ludzi, dyskretnie wabione przez towarzystwo z drugiej strony lady, barczyste i wąsate lub wiotkie i ładnie podmalowane, które oferowało wszystko, co potrzebne jest koniowi do szczęścia, na przykład eleganckie szpicruty i wymyślne ostrogi.

Jaż moja prowincjonalna, zachłanna, odnotowała jeszcze takie dobra, wyłożone do sprzedaży, jak: siódła męskie, damskie, dziecięce, uniwersalne i sportowe, wyścigowe i spacerowe, nadto kosmetyki i medykamenty końskie, odżywki dla zrebaczek, uprzęż zwyczajną i zdobną, bryki albo powozy, stroje własnie modne, książki i czasopisma o tematyce hipologicznej, stosowne obrazy i rzeźby, różnego rodzaju przyczepy i samochody do przewozu zwierząt: Volkswagen LT 35, Unic Daily, Ford Transit — tak wypięszczone i wyposażone, że można by w nich pomieścić z narzeczoną i jej dziećmi, choćby nad Jeziorem Białym w pełni sezonu...

Ale to wszystko drobnica wobec cudu techniki elektroniczno-mechanicznej, który odkryłem w pewnym miejscu hali. Był to symulator jazdy konnej, czyli siódło na teleskopach i zrostkopach (?), które poruszało się zgodnie z programem niejako przepisanym z siatki ruchów prawdziwego rumaka, puszczanego swobodnie, to znów trzymanego na wodzy. Urządzenie wymyślono w celach szkoleniowych, z myślą o adaptacji jazdy wierzchem, wśród których, jak wiadomo, znaczną grupę stanowią niewinne dzieci. Tymczasem sapać się na pracującą właśnie maszynkę uleżało się emocjom dalekim od wzruszeń hipologicznych, jako że dobrze zbudowana demonstratorka walorów urządzenia, do którego przylgnęła udami w bryczesach, kołysała się tak jakoś dziwnie, choć zgodnie z programem komputera: do góry i na dół, jeszcze raz i jeszcze...

No cóż, jednak już dawno temu Stanisław Wotowski zauważył: „Kobieta na koniu zaznacza jakby swą władzę nad światem, zresztą dosiadanie konia przypomina jej, że ujeżdżona ona również i drugie jeszcze, łagodne domowe zwierzę, mianowicie — mężczyznę”. Francuzki od stuleci dosiadają konia. Damy dworu wersalskiego były nawet tak sprawne, że wykonywały cały program maneżowej szkoły włoskiej a salto, obejmujący krótki galop, piruety, wolty, passady. Cnąc wyróżnić jakąś powabną niewiastkę, Ludwik XV zapraszał ją na konne polowania gdzie w interwałach krwawego procederu panie w siódlach wdziaczyły się do monarchy. Udział w takich zabawkach należał oczywiście do obowiązków faworyt królewskich. Pospały nudrem, uróżnione odziane w suknie wycięte z przodu i w bufiaste krótkie spodnie, galopowały różne panie Pompadour czy Dubarry, aż zwierzę dziki zawodził w kniejach, własnowolnie wychodząc pod lufy strzelców.

Polki też były dobre. „Szlachcianka konno i na bal cwałuje”, oznajmiało stare przysłowie. Ale kto dziś pamięta, że na przedwojennych rewiałach w Rembertowie wierzchem jeździła sama generałowa Sosnkowska, znana obecnie nad Wisłą głównie z kilku seansów telewizyjnych, podczas których dała się poznać jako wnikliwy, trzeźwo myślący obserwator polskich i zachodnich praktyk politycznych. Wtedy, w Rembertowie, dzielnie wytrzymała ostrą konkurencję królowej rumuńskiej Marli, znakomitej — wszak amazonki, a teraz też nie znalazł się taki który zhuby z nantalsku wdawa po emigracyjnym Wodzu Naczelnym.

Kobieta na koniu to przecież widok dzisiaj zwyczajny, wręcz banalny, nawet na sławieckim torze gdzie ostatnio pewna panna często wyprzedza na mecie swoich kolegów.

Ale kobieta na elektronicznym symulatorze to istna perwersja!

Choć czy ja wiem — może większym jeszcze wynaturzeniem, z jakim zetknąłem się oko w oko na Salon du Cheval, był idiotyczny proceder zachęcania mnie do kupna np. uzdeczki nabijanej srebrnymi ćwiekami, spodni ze skóry mięciutki jak tylek niemowlecia, kolorowych kombinezonów z takiego materiału, butów do konnej jazdy, swetrów, koszulek, bluzek i bodajże gaci oraz jubilerskich precjozów z motywem „araba” czy „anglika”, nie mówiąc już o kremie do golenia w zrebaczki — podczas gdy w trakcie niemal godzinnej nurzania się w tym upostaciowionym duchu cywilizacji konsumpcyjnej (krem do golenia) ani razu nie spotkałem żywego konia! Ba, nie poczułem nawet tego przyjemnego dla nozdrzy rasowego hipologa zapachu, jaki wydziela ściółka zroszona przez wodopojne zwierzęta. Wokół unosiła się tylko woń dezodorantów, smażonych frytek, befszytków i tłustych pieniędzy, włożonych w targowy interes.

Nie wątpię, że wielu Francuzów kocha konie jak pan Zygmunt Braur z Kieleckiego, który jest jedynym prywatnym hodowcą ararów w Polsce,

— no i w końcu zaczęło mi się podobać za Salon du Cheval, który zresztą często przyznawał arabom z Janowa Podlaskiego championaty świata i Europy. Manipulacje na koniach i w ogóle cały egoizm człowieka umieszczone, drogą racjonalizacji, w naturalnym porządku wszechrzeczy, który jak świat światem utrzymuje się kosztem czegoś lub kogoś.

Ale nie sądzony był mi pokój wewnętrzny dnia tego w Paryżu. Kiedyś kolejny raz słowapilnie uwiaryścił racje pana kiper, od strony pierwszej areny zabrzmiał głos potężny, niby trąb jerychońskich. Oho, bąknąłem, przyszła kryśka na Matyska.

Na miejscu okazało się że moje domniemanie ocierało się o właściwe rejony. Oto na arenie stało w szeregu kilku krępych mężczyzn, przyodżnianych w eleganckie stroje, przypominające kostiumy jeźdźców polujących par-force w obrazach Wojciecha Kossaka. Ta silna grupa dęła w rogi, których złocisty poblask pięknie komponował się z bielą bryczesów i czarną kurtką. Melodia też była ładna, rzewna i patetyczna, ale trudno mi orzec, czy rozmościła się po hali jako stała atrak-

wszystkich cudzoziemskich wycieczek do Paryżu, konsekwentnie oczywiście przez Francuzów. Na szczycie wzgórze zwiędza się najpierw bazylikę Sacre Coeur, która rajcuje gości, albowiem dzwonnica sięga na wysokość 94 metrów. Chwaląc się wnętrzem tak bogatym — witraże, mozaiki, marmury — jak wyobraźnia burżuazja, która na tragicznych ruinach Komuny Paryskiej wystawił był sobie pałac. Nieprzypadkowe to porównanie. Bazylikę „w stylu romanobizantyjskim”, dla mnie wręcz niesmacznym, wzniesiono bowiem, mocą dekretu Zgromadzenia Ogólnego z roku 1873, właśnie na potrzeby Komuny. Inna sprawa, że nie trzeba było długo czekać na reakcję progresistów, którzy w roku 1889 ostatecznie zdystansowali konserwę, stawiając wieżę Eiffla, wysoką na ponad 300 metrów. Jak widać, ideologiczny pluralizm bywa pożyteczny.

Po zaliczeniu Sacre Coeur turyści wychodzą przed bazylikę, a tam już czeka na nich nasz pony, który ciągnie towarzystwo na plac du Tertre.

Miejsce to niezbyt rozległe, jakieś 50 na 50 metrów, otoczone wierzchołkami, barów, galerijek, bywa że po-

Lublinianin w Paryżu (3)

Pony du Tertre

Ireneusz J. Kamiński

przywiązany do swoich obłubieńców od ponad pół wieku i rozumiejącym ich lepiej, niż oni sami siebie pojmują (co tylko dla profanów wydaje się oczywiste).

Podjeżdżam jednak, że większość ludzi kręci się wokół koni z powodów egoistycznych, traktując poczciwe walczyki, ogniste ogiery czy temperamentne klacze niczym wysoce procentowane akcje giełdowe lub też symbole prestiżu, pozycji społecznej, przynależności do „noblesy”.

Paryski Salon du Cheval wydał mi się takim targowiskiem dóbr materialnych i próżności, po którego obrzeżach pomykają chylikiem bezinteresowni, prawdziwi miłośnicy konia — stowornia najokrutniej wyzyskiwanego w dziejach cywilizacji i ciągle poddawane przeróżnym manipulacjom. Jeśli na jakiejś aukcji ujrzycie paradiera z ogonem sterującym sprężynę w tzw. palme, nie sądzicie, że jest to oznaką jego spontanicznej euforii. Podniesieniem ogona zwierzę łagodzi tylko działanie pewnej pięknej substancji, którą celowo wysmarowano końskie podogonie. Stosowane są i inne, bardziej wyrafinowane środki dopingujące.

Rzecz jasna, na Salon du Cheval znalazłem w końcu konie au naturel. Prezentowane pojedynczo, parami, pod siódlami i na kantarach, także w zaprzęgu, wyglądały ładnie, zdrowo i dzielnie, sprawdził się zbiorczy okłask publiczności, siedzącej na kolorowych trybunach wokół rozległej, wysypanej trocinami areny. Występujące tutaj konie były pełnowymiarowe.

Natomiast na drugiej arenie, jeszcze większej, liczącej może 60 metrów długości, popisywały się kucykowate pony. Pochodząc z Wysp Brytyjskich, uznawane są za zwierzęta wytrzymałe i łagodne, idealne w roli zabawek dziecięcych. Ten przecież konik, którego miałem okazję podziwiać, był, owszem wytrzymały, ale czy łagodny? Prowadzony przez rosnącą damę w białym kombinezonie, to zrywał się do galopu, to stawał gwałtownie, to padał na przednie nogi, pociągając za sobą skonfundowaną przewodniczkę, co dźwięki i ich matki na trybunach kwitowały huraganem braw. Sympatia widowni wyraźnie była po stronie pony. Kiedy schodził z sceny do jednego z licznych boków, ułożonych w pobliżu wybiegów, tognął go ciepłe słowa i cukierki.

Syciem oczy końską urodą, zaplądałem do stoiska firmy „Les Caves Marc Valade”, gdzie kiper bezpłatnie udawał publiczności, że jego „wina własne i szampany” nieorzypadkowo otrzymały złoty medal Międzynarodowej Federacji Handlu i Przemys-

cja Salonu, czy też okazyjnie, na okoliczność święta jakiejś asocjacji ryśliwsko-jeździeckiej.

Bardziej wszak intrygujące było to, co działo się vis-à-vis dmącego zespołu, na trybunie, gdzie zwykle zasiada jury Salonu du Cheval. Stał tam mianowicie ksiądz w szatach liturgicznych, w asyście, celebrujący — mszę polową?

Obserwowałem publiczność: kiedy nadszedł mistyczny moment podniesienia, kiedy kielich błysnął w świetle reflektorów, polowa trybuna wstała z uszanowaniem. Pozostała część ani drgnęła, spokojnie korystując wciąż z przyniesionych kasztanów, marcepanów, lodów czy hot-dogów.

Kościół w Francji świecą pustkami, na prowincji popadają w ruinę, albo służą jako garaże. Zatem kapłani próbują nieść słowo święte w samą gestwinę życia.

I tak jest we wszystkich prawie bogatszych krajach świata...

Obfitość towarów, parady końskie, bary, atmosfera wielkiego pikniku w pejzażu handlowym, msza na arenie — z tego wszystkiego najbardziej utkwił mi w pamięci ów nietypowy pony, kojarzący się jakoś z miejscem odległym od Porte de Versailles, na północy Paryża wieńczącym szczyt legendarnego Montmartre a zwanym placem du Tertre.

Kiedyś, na początku wieku, po tym placu i okolicznych uliczkach przechadzali się, czasami staniąc na rozmiękkonych absyntem nogach, malarze, rzeźbiarze, poeci, prozaicy, aktorzy, marszandzi, którzy ruszyli z posad bryłę sztuki pod hasłami kreacji wolnej, suwerennej... Przebywali tam zatem: Matisse, Braque, Dufy, Derain, Modigliani, Utrillo (spoczął na pobliskim cmentarzu), Lapehitz, Metzinger, Marcoussis (czyli nasz Ludwik Markus), Apollinaire, Jarry, Cocteau, Modot, Vollard, Kahnweiler i wielu innych. Niżej, w starym drewnianym budynku przy rue de Ravignan 13, zwanym „Bateau-Lavoir” ze względu na niejakie podobieństwo do sfalgotowanych statków rzecznych, mieszczały się pralnie, w tej więc malowniczej budzie mieszkał i pracował Picasso.

Ci artyści zajmują wysokie, nierzadko najwyższe miejsca w historii sztuki, ich dzieła osiągały wysokie notowania na aukcjach, zdobyły cokolwiek muzeów świata, ale obecnie na wagzoru duch awangardy występuje już tylko w roli pony, który dzień w dzień, rok w rok przyciąga w to miejsce turystycznie roznamagłonych gości: angielskich, niemieckich, amerykańskich, włoskich. Wielu z nich nie ma bladego pojęcia o sztuce — a o to właśnie chodzi!

Montmartre stanowi świętą stację

licją. Ale serce placu jest szczerzota i zwielokrotnione, bo składające się z jakiejś setki Artystów, którzy w widok pony z tabunem turystów rzucają się do pracy twórczej i nospiesznie wykańczają: pejzażyki z motywami najbliższej okolicy, kwiatki i blawatki, a jednocześnie zachęcają, wabią, kokietają gości: — Madame, spójrz pani sama, zobacz seniorita, czy to nie będzie najlepsza pamiątka z placu du Tertre, gdzie sam Modot, twój rodak, obrabiał damy na płótnie?!

Na obrzeżach targowiska brylują portreciści: kredką lub węglem, za jedyne 100, niech będzie 50 franków, błyskawicznie kreślą wizerunki tym piękniejsze, im model brzydszy.

Interes kwitnie, tutaj dziennie można zarobić 500, a nawet 1000 franków, bo większość rozanielonych turystów pożąda pamiątki à la Montmartre i nie odróżnia gwaszu od zęcznie podmalowanej serigrafii.

Jest to interes dobrze zorganizowany; nad jego ładem wewnętrznym czuwają nasi bracia, południowi Słowianie, chłopcy roble, górale, którzy poczucie humoru ujawniają tylko we własnym gronie.

Czasami przecież wpada na plac policja i wtedy w największych opalach jest reprezentacja polska, w większości pracująca „na czarno”, bez wymaganej koncesji i innych dokumentów. W tej grupie znajdują się też lublinianie, dzieci prominentnych niegdyś funkcjonariuszy.

Niektórzy, jak sądzę, poznali plac du Tertre, o którego folklorze już zresztą wcześniej pisałem. Ale w tym roku dałem się zaskoczyć pewnemu malarzowi, który na niewielkich płótnach zgrabnie wyciągał chałupy strzechy koryte, zanurzone w śniegu bezkarnych polonin. Banalne? Możliwe, lecz nie pozabawione siurpryzy, jako że malarz ten był Chińczykiem. Na placu twierdzą, że skośnooki mistrz dobrze wychodził na tych chałupach, lepiej niż one same w procesie z mazowiecka aziatyczej kreacji na paryskim bruku.

Bardziej jednak zdominowała mnie scena sprzed wejścia do popularnej restauracji „Vanouchka”, która znajdująca się kilka pięter poniżej naszego Eldorado, oferuje potrawy kuchni polskiej, jako to: schabowy z bigosem czy barszcz „Ukraina” (tak w oryginalnym menu). Otóż do drzew tego wosnego przybytku stał kopytkiem błądy pony, ciągnąc za sobą opierającego się strasznie Picassa.

Ale czemu się tu dziwić, skoro wiadomo, że każdy Polak na delegacji chętnie rozsiadłby się w „Vanouchce”, gdyby miał tyle franków, ile mały konik zarobił na cyganeryjnym miecie awangardy...

(cdn.)

BIBLIOTEKARZE mówią o wzroście czytelnictwa... Czyżby ludzie nagle oderwali się od telewizorów i sięgnęli po lekturę książek? Czy też po prostu biblioteki przeżywają zwiększony napływ abonentów, bo coraz mniej osób może sobie pozwolić na luksus zakupu? A poza tym naprawdę atrakcyjne książki znikają ze sklepów błyskawicznie i wówczas jedyną szansą na ich przeczytanie jest wypożyczenie z biblioteki. Często po długim oczekiwaniu w kolejce...

Zatem, którzy polscy autorzy, a przede wszystkim współcześni, cieszą się największą poczytnością wśród ludzi korzystających z bibliotek? Na ten temat przeprowadziłem sondę w kilku różnych — jeśli chodzi o środowisko i dzielnicę miasta — lubelskich bibliotekach.

Zacząłem od jednej z najstarszych placówek tego typu: chlubiącej się ponad siedemdziesięcioletnią tradycją, prowadzonej przez spółdzielczość — Biblioteki Wojewódzkiej Spółdzielni „Społem”, mieszczącej się w samym centrum Lublina, na parterze kamienicy przy ul. Osterwy, pod numerem szóstym...

Powstała w 1916 r., zawdzięcza swe istnienie grupie ludzi, wśród których znajdowali się m.in.: Bolesław Bierut, Maria Dąbrowska, Jadwiga Górczyńska, Jan Hempel, Maria Ossetti i Wanda Papiewska. W 1918 r. księgozbiór biblioteki liczył 1520 tomów, a czytelników było 192. Dzisiaj biblioteka liczy tych czytelników 2200, a dysponuje trzydziestoma dwoma tysiącami tomów.

Jest to biblioteka typowo pracownicza i — co podkreśla kierowniczka, Maria Janczarek — wielopokoleniowa, korzystają z niej całe rodziny — od dziadka do wnuka.

Co abonenci biblioteki czytają z literatury polskiej? Przede wszystkim powieści Kraszewskiego, Sienkiewicza, Rodziewiczówny, a także Bunscha i Gołubiewa. Tematyka głównie więc historyczna. „Zaczytywana” jest... Rodziewiczówna — szczególnie po ekranizacjach jej książek oraz serii artykułów w prasie, jakie ukazywały się w związku z filmem „Między ustami a brzegiem pucharu”. Wciąż cieszy się popularnością Fleszarowa-Muskat, ale równocześnie, zaskakujące — Gombrowicz. Po tego autora sięga bardziej średnie pokolenie. Nadal w obiegu są książki Wiesława Myślińskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Juliana Kawalca, Haliny Auderskiej (znów tematyka historyczna, tyle że nowsza). Wielu czytelników ma Bratny.

Spośród lubelskich literatów — przede wszystkim książki Longina Jana Okonia (trylogia indiańska), również — jak w poprzednim wypadku — młodzieżowe książki Wiktora Zawady i Marii Józefackiej. A wśród dorosłych najwięcej czytelników ma Ryszard Jegorow.

O książki wybijających się pisarzy młodego pokolenia: Luczeńczyka, Łozińskiego, Rylskiego, Siejaka — czytelnicy, owszem, pytają, ale dość rzadko.

Na kryminały jest mniejszy popyt niż dawniej; wypożycza je określona, stała grupa entuzjastów tego gatunku, natomiast młodzież bardzo chętnie sięga po science-fiction.

— A Wisłocka?

— Na Wisłocka już moda minęła — powiada kierowniczka biblioteki.

— Co jest u was obecnie czytelnictwem „hitem”?

— „Imię róży” — Umberto Eco. — Mamy jeden egzemplarz na dwa tysiące czytelników. No, ale to nie jest literatura polska, o którą pan pyta... A w ogóle — dodaje pani Janczarek — książki prezentują się fatalnie pod względem technicznym, rozpadają się po kilku wypożyczeniach; drukuje się je drobnym drukiem, niezwykle niewygodnym do czytania dla ludzi starszych.

Inna okolica, inne środowisko: Miasteczko Uniwersyteckie — dom akademicki „H”, a w nim, na parterze, jedna z licznych filii Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego. Razem dwa pokoiki o powierzchni w sumie 34 m kw., a w nich około czterdziestu tysięcy tomów, poumieszczonych na regałach tak blisko siebie stojących, że ledwie się można

między nimi przecisnąć. A filia biblioteczna ma ponad tysiąc pięćset zarejestrowanych czytelników...

Teresa Iracka, kierowniczka, dodaje zaraz, że w ciągu dziewięciu miesięcy (tyle czasu trwają zajęcia na uczelniach) mają prawie czternaście tysięcy, jak to się nazywa w języku bibliotekarzy, odwiedzin. Z czytelnictwem wśród studentów wcale nie jest więc tak źle.

Tutaj, w tym bardzo specyficznym, odbiegającym od przeciętnego, środowisku czytelnictwem, należy od razu podkreślić fakt istnienia dwóch grup abonentów: tych, którzy wypożyczają książki potrzebne im do studiów (głównie lektury słuchaczy wydziałów

Przeciwny kraniec Lublina. Ulica Krańcowa 106. Dzielnica robotnicza — Bronowice. Wznoszona niegdyś dla pracowników FSC.

Tutejsza filia Biblioteki im. H. Łopacińskiego rozpoczęła działalność w 1958 r. w wygodnych i obszernych, jak na ówczesne czasy, pomieszczeniach. Pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni to było kiedyś coś! Dzisiaj, wobec tysiąca siedmiuset stałych czytelników i księgozbioru liczącego czternaście tysięcy tomów, i tu odczuwa się ciasnotę.

— Trudno obecnie mówić — zauważa kierowniczka, Jolanta Sobich — o naszej placówce jako o bibliotece dla robotników. Czy to zresztą dzisiaj

ich czytelnictwach uodobaniach, a także i animozjach. Potrafi dobrać zestaw książek dla osób, które nie mogą, czy nie mają czasu, przyjeść osobiście i wysyłać do biblioteki członków swych rodzin. I rzadko kiedy nie uda się jej utrafić w cel.

Historia tej biblioteki zaczęła się w 1951 r. od skromnego „kącika” w obrębie mieszczących się tutaj wówczas biur Biblioteki Wojewódzkiej. Dzisiaj księgozbiór liczy dwadzieścia dwa i pół tysiąca tomów a ponad dwa tysiące czytelników stale wypożycza książki.

Wielki odsetek wypożyczających stanowią uczniowie z sąsiadującego z biblioteką kompleksu szkół: Technikum Budowlanego, Geodezyjnego, Liceum im. Staszica oraz szkół podstawowych i zawodowych przy ul. Długosza. Ma też filia swój punkt biblioteczny w Wojewódzkim Urzędzie Statystycznym przy ul. Króla Leszczyńskiego.

Co się wypożycza? Czytelnicy są wybredni, nie wezmą byle czego.

Młodzież, oczywiście, wypożycza wiele klasyki, ze względu na lekturę szkolną. Wśród dorosłych powodzenie mają książki Auderskiej, Dobraczyńskiego, Bratnego, Konwickiego, Myślińskiego, Lysiaka, Fleszarowej-Muskat. Ogromne zainteresowanie wzbudziło w 1987 r. „Wzgórze błękitnego snu” Igora Newerlego, jak zresztą i wszystkie jego książki. Ciągłe czytane są powieści Marii Kuncewiczowej. Nienacki — to oczywiście „Skirólawki” i późniejszy „Wielki las”. Z autorów lubelskich — przede wszystkim Jegorow. Wśród młodszych czytelników — Longin Jan Okoń, Wisłocka i Lew Starowicz. Z klasyków jak wszędzie, Kraszewski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Bunsch... Ale uwaga: mniej tutaj wypożyczają czysto historycznych, a więcej obyczajowych powieści Kraszewskiego. Literatura obca: — „Amerykańscy chłopcy”, „Król szczyrów”, „Kompleks Portnoya”, „Imię róży”...

Największe kolejki są obecnie po książkę Zofii Romanowiczowej „Lagodne oko błękitu”, historię miłości Niemca do więźniarki, kończąca się tragicznie...

Na zakończenie garść danych udzielonych mi przez kierownika działu sieci miejskiej, Grzegorza Kornackiego, z „centrali” Biblioteki im. H. Łopacińskiego, instytucji tylko w samym Lublinie kierującej pracą trzydziestu pięciu filii bibliotecznych, dysponujących w sumie niespełna 490 tysiącami tomów (wraz ze zbiorami „centrali” jest tych tomów 770 tysięcy).

Ze sprawozdań kierowników filii wynika, że w 1987 roku najbardziej czytana książką był „Pamiętnik adiutanta Marszałka Piłsudskiego” Mieczysława Lepeckiego. Jeśli chodzi o Nienackiego, rozpoczął się wyraźny schyłek „Skirólawek”, ale ogromne zainteresowanie wzbudził „Wielki las”. Stale czytane były nadal książki Waldemara Lysiaka; i — rzecz charakterystyczna — pasjonują się nimi czytelnicy od tych najbardziej po najmniej wyrobionych.

Biblioteki, a więc i czytelnicy, bardzo dopominają się w „centrali” o literaturę pamiętnikarską, która napływa wciąż w zbyt małej liczbie egzemplarzy. Książki młodych literatów, jak Siejak czy Łoziński, mają swoich czytelników, ale nie są one rozchwytywane. Z lubelskich autorów najbardziej czytany jest indiański cykl Longina Jana Okonia i wojenny Wiktora Zawady. W kilkudziesięciu złożonych przez filie sprawozdaniach tylko jeden raz wymieniono (jeśli chodzi o szczególną poczytność) książkę Lwa Starowicza — „Barwy seksu”. Natomiast zaskakująco dużo osób wypożyczyło „Krakowskie Przedmieście pełne deserów” Adolfa Rudnickiego.

I tyle sonda biblioteczna. Potwierdziło się w niej moje przekonanie, że Polacy bardziej interesują się swoją dawniejszą i współczesną historią, tym wszystkim, z czego wyrosliśmy a mniej miłośnymi igraszkami. Wyjątek Nienackiego niczego tu specjalnie nie zmienia.



Rys. Zbigniew Cieniuch

humanistycznych), oraz tych, którzy czytają dla siebie.

— Pewnie pana to zaskoczy — mówi Teresa Iracka — ale studenci wypożyczają chętnie książki Kraszewskiego i Korzkowicza. Rozchwytywają pozycje Waldemara Lysiaka i wszystkie, a mamy ich sporo, są zawsze w czytaniu. Wielkim zainteresowaniem cieszy się historia najnowsza, głównie dotycząca narodzin II Rzeczypospolitej oraz jej indywidualności politycznych, takich jak Piłsudski czy Sikorski.

Studenci chętnie sięgają też do tematyki starożytnej: czytane są książki Aleksandra Krawczuka, ale i beletrystyka dotycząca tego okresu...

Jeśli chodzi o tematykę współczesną, nadal popularnością cieszy się Nienacki. Jednym z czytelników „hitów” jest „Kamień na kamieniu” Myślińskiego. Poza tym, oczywiście, kryminał, literatura przygodowa i fantastyczno-naukowa. Prym wiedzie jednak historia.

Co ciekawe: w tym właśnie środowisku nastąpił jakby odpych zainteresowania rozchwytywanymi, jeszcze do niedawna, książkami Michalina Wisłockiej i Lwa Starowicza.

A książki Siejaka, Łozińskiego? Studenci je, owszem, czytają, ale z ręką ich sobie nie wyrwyją. Skończyło się — mówiąc nawiasem — zafascynowanie literaturą iberamerykańską, młodzież wprawdzie dużo czyta Amerykanów, lecz tych z Północy, sięga po takie tytuły, jak „Cienka czerwona linia” czy „Amerykańscy chłopcy”...

nie przestarzałe pojęcie? W dodatku pod bokiem wyrasta wielkie osiedle Pogodna, które wcale nie ma zdecydowanie robotniczego charakteru.

Jedyną więc charakterystyczną cechą biblioteki na Bronowicach jest dużo większe niż gdzie indziej zainteresowanie tematyką dotyczącą drugiej wojny światowej, co chyba wynika z usytuowania w niedalekiej odległości Klubu ZBOWID-u... Poza tym i tu na pierwszym miejscu jest Kraszewski, Sienkiewicz, Korzkowicz, Bratny.

Ogromne powodzenie mają wydane niedawno wspomnienia mjr. Mieczysława Lepeckiego, adiutanta marszałka Piłsudskiego.

I tak krecimy się wciąż wokół spraw polskiej historii, bo także wśród lubelskich literatów największym wzięciem cieszą się na Bronowicach książki Ryszarda Jegorowa. Jedynie Nienacki nadweręża, w jakimś sensie, ten zwarty blok czytelniczego zainteresowania historią...

Zupełnie inny ZOR, ZOR Zachód, wybudowany przy Alejach Raclawickich. W bloku na rogu Alei Raclawickich i ulicy Księża Józefa Poniatowskiego — „filia nr 6” Biblioteki im. Łopacińskiego. Placówka, którą od dwudziestu dwóch lat kieruje pani Irena Madej.

Tutaj jest przestronnie (110 m kw. powierzchni), zawsze na wysoki poziom, spokojnie i... rodzinnie.

Po tylu latach jej kierowniczka nie tylko zna ogromną liczbę stałych abonentów, ale doskonale orientuje się w

III nagroda w konkursie „Stron”

...i narodził się syn człowieczy, któremu życie swoje przekazać miałem...

E. R.

PATRZYLIŚMY na wszystko inaczej... Matka siedziała przy poblonym piecu, skleconym jeszcze tego roku ze starych cegieł, kolysała się z boku na bok, cerując ojcowskie skarpety. W izbie półmrok... Na stare już meble padał matowy blask lampy naftowej stojącej na stole, przy którym zawsze siadywałem, zagłębiając się w bezładnie porzucane podręczniki. Kot pomrukiwał w kącie, przez drewniane ściany dochodziło ujadanie psa, który po całodziennym bezrobociu zaczynał wieczorem swoją służbę.

Poza tym nic... Każdy wieczór podobny był do poprzedniego i każdy rano podobny był do następnego.

Kiedyś było inaczej... Rano ojciec miał dużo pracy: musiał zrobić obrządek, wydoić krowy i czekał na móżdżki dzianiny. Matka gotowała coś tam na śniadanie i wybierała mnie do szkoły...

Po śmierci babki wszystko się zmieniło. Nie mieliśmy już ziemi, zostało tylko tyle, co na ziemniaki i warzywa. Dom podupadł, zmalał dobytek i — co najgorsze — ojciec już nie był ten sam, co kiedyś. Pracował ciężko, łapał każdą robotę, aby było chociaż na chleb. Robił wszystko i u każdego. Pamiętam, że zawsze Lis przychodził, proponując ojcu na dzień następny wywalenie gnoju od krow w swojej oborze. To znowu ktoś drzewo z lasu chciał przywieźć, to siano pozwozić, to świnię sarniącą... to do nas przychodził i mówił. Więc jakos żyliśmy, raz gorzej, raz lepiej, ale zawsze jakos...

I szłoby tak dalej, gdyby nie zawał ojca. Matka nadal zajmowała się domem, doglądała inwentarza i plewiła ogród. Ojciec, nie mogąc pracować, pożyczal pieniądze od gospodarzy, mówiąc, że odda, jak coś tam sprzeda. Nieraz nabierało się tego dość dużo i nie było z czego oddać. Więc zaczęło się upominanie, obrażanie, aż wreszcie doszło do odizolowania naszej rodziny od nich wszystkich.

I tego wieczora też był jeden, ale matka cerowała skarpety ojca, a ojciec na pewno cerował swoją duszę gdzieś pod zadaszeniem lip, więc tamten poszedł sobie.

Wezłazłem chodząc spać, za to wstawiałem jeszcze wcześniej. Cały dzień spędziłem w pobliskim miasteczku. Po powrocie do domu zastawałem ojca na podwórku. Chodził i przypatrywał się płakom, jak nad kolyszącymi się brzożami grały w berka...

Zaglądał do chlewa. Patrzył, jak wszystko rośnie, ale tego przyrostu jakby nie widział. Umyślnie rozrzucał polana porąbanego drewna i zbierał je później, układając z powrotem. Matka zabraniała mu każdej pracy. Sama dźwigała, nosiła wodę, a ręce od tych ciężarów miała tak ciężkie, że nieraz musiałem wieszać bieliznę na sznurku.

Wszystkiemu przypatrywała się smutna twarz ojca, ozdobiona na skroniach szronem i nieustannie kiwająca się w zapażeniu na krzątającej matki i moją popołudniową pomoc. Nawet mawiał do mnie:

— Raczk, mój nieboraczk, czy aby to nie za wiele?

Nie nie odpowiadałem, łapałem wiadro spod studni i naprzód!... Woda oblewała mi buty i przesiąkała przez skarpety, chłodząc stopy. Brnąłem przez podwórze, omijając zrecznie wszystkie przeszkody. Pies patrzył na moją gonitwę, dziwiąc się zapewne. W oborze czekała na mnie matka, mocno trzymając Laciata, by nie uciekła. Wchodząc na mój, wiadro wody wecisnęło mi na kostki prawie. Podstawiłem je pod dysk krowie i wychodziłem z obory. Buty, obsmarowane gównem i gnojówką, wycierałem o trawę glansując je słomą.

Ulubioną przystania ojca było niewielkie zadanie na drewno. Siadał tam na pieńku i dumał. Stamtąd zawsze zabieraliśmy go, idąc do domu po zakończonej pracy. Przez obejście szło się w milczeniu, stanoła się noga za nogą tak jakby był to ostatni pochód, ale w kolejności się stapało. Przodem szedł ojciec, potem matka i ja. W rytualnym wchodzeniu do domu ta kolejność naruszała się niezmiernie. Ojciec otwierał drzwi matce, a ja zamykałem je, wchodząc tuż za ojcem. W sieni już ciemno było... W kuchni błyszczała lampna, dopiero co zapalona przez matkę, rzucając na wszystko mdły zapach promieni. Usiedliśmy przy stole... Matka szykowała strawę od czasu do czasu wdychając Ojciec wyciągnął nogi daleko przed siebie wpatrywał się w sufit i cichym głosem podobnym do płaczu powiedział:

— Ze mnie i tak już pożytku nie macie, nie-długo mi już na tym świecie... — Urwał i spojrzał na mnie. — ...proszę Raczk, zostań z matką i dbajcie o to, co wam zostawiam.

Matka szlochnęła, dołożyła dREW do pieca i tylko jej fartuch, tak jakby woda obłany, trasał kolana. Siedziałem patrząc na ojca na tego żalem wykrzywioną twarz i wzrokiem moim zapewnianiem go że inaczej być nie może. Nawet kot wyżuż przygnębienie ojca i wskoczył mu na kolana, wznosząc łeb do góry. Ojciec położył na jego czarno-białym grzbiecie swoją dłoń. A nie była to byle jaka dłoń. Dłoń była z pięciu ogromnych palców posklejana porysowana zmarszczkami niepo-

wodzeń, których czarne rzeki widoczne były nawet w tak przyćmionym świetle. Płynęła ta dłoń po miękkim grzbiecie kota i po moich myślach też płynęła.

Matka postawiła na stole kapuśniak w zielonych miskach. Byłem wygłodniały po całodziennym nauce, wyczerpany po obstawaniu na stanowiskach pekaesu, toteż zjadałem kapuśniak łyżką za łyżką. Po chwili matka w moja pusta już miske wylała zawartość garnka stojącego na kuchni. Przysiadła na koślawym stołku przy piecu i ciszo zaczęła posilać się.

Ojciec ostrożnie przykładał łyżkę do ust. Jądi niewiele i powoli, toteż nie zjedzone pół miski strawy podsunał w moja stronę. Nie jadłem, choć wiedziałem, że ojciec już tego nie ruszy. Matka posprzątała ze stołu, wzięła ojca pod rękę i odrowadziła go do pokoju, w którym było jego łóżko.

ZADASZENIE

Robert Kisiel

Rozmawiała potem długo z ojcem. Ich cicha rozmowa nabierała tajemniczości i była dla mnie nieusłyszalna. Podkreśliłem wtedy knot lampy. Ale moje czytanie nie kleiło się. Litery widziałem podwójne, szkło lampy stawało się ciemniejsze... elemniejsze...

— Raku, śniadanie, obudź się!

Otworzyłem oczy i ujrzałem Epikura pośród niezliczonych liter lacińskich. Lokcie moje spoczywały na krawędziach stołu, a ręce miałem pełne mrówek. Matka uśmiechnęła się do mnie, zabierając mi spod nosa książkę. Na stole kubek już dymił herbata i leżały kromki chleba posmarowane smalcem. Wchłonąłem te energie i popędziłem na przystanek.

Tego dnia dłużej byłem w miasteczku. Przesiedziałem w bibliotece kilka godzin i przedostatnim autobusem wróciłem do domu. Wysiadając na przystanku, zauważyłem matkę wychodzącą ze spółdzielni. Jej ruchy były pogodniejsze niż zaw-



Rys. Edward Inglet

sze, w ręku kolysała się prawie pusta siatka, twarz rozjaśniona przelatująca jaskółczym promykiem po falistych koronach przydrożnych topoli. Przejąłem z tej rak torbę a ona uśmiechała się, nawet nie pytając dlaczego tak późno... Baby powychodziły ze sklepu, postawały na schodach i coś tam pomrukiwały...

— Zobacz, jak patrzy na ciebie — powiedziała matka

Nie zwracałem na nie uwagi. Wynitywałem tylko o ojca i o to, jak sobie poradziła beze mnie.

Matka jakby nie słuchała tego, jakby całkiem obok tego była. Niezrozumiale to było dla mnie, nigdy jeszcze nie zachowywała się w taki sposób. Płynęła lekko po asfalcie upojona śpiewem ptaków, beztraska i lekka. Dlaczego?...

Czy mógł znać odpowiedź człowiek-ja, który mając tyle lat, był kompletnym profanem. A gdy będzie miał podwójną liczbę tych lat — nie nie będzie widział. I gdy jego lata ziemskie już nie będą rosły — nie będzie w stanie nic madrego powiedzieć. Dopiero niemowle przychodzące z galaktyk prawdziwego życia będzie mogło coś powiedzieć, ale przemilczy głucho żyjących.

Nie wiedziałem zatem, co było matczynym rado-waniem. W polowie drogi do domu odebrała mi torbę, tak jakby coś nagle sobie przypomniała. Wyciągnęła z niej gazetę, znięta troszczone, i oddała mi ją. Zaczęłam przewracać kartki, a jej wzrok leżał na moich policzkach, muskając je delikatnie — tak jak kiedyś w dzieciństwie moim.

Na pierwszej stronie ujrzałem moje nazwisko, a później moje wiersze.

— W spółdzielni dostałam od Maryśki, z miasta widocznie przywiozła i zaczęła czytać, gdy wchodziłam. Potem dziwił się, że to twoje wiersze i jakieś takie dziwne...

Matka cieszyła się, ja cieszyłam się — świat był dla nas uciechony. Lekko nam się zrobiło i teraz, wsparci na obłoku asfaltowym, płynęliśmy do domu.

Na podwórku nie było nikogo. Przeraziła cicha obejścia zaskoczyła mnie.

— Gdzie on znowu poszedł? — pytała sama siebie matka.

— Pewnie u sąsiada jest, miał przecież jutro razem z nim do miasta jechać — uspokoiłem matkę i otworzyłem jej drzwi do mieszkania.

Sam jednak nie wchodziłem. Gazetę trzymając pod pachą, poszedłem na podwórko poszukać ojca. Nigdzie go jednak nie było. Rozwiane włosy brzozy pieściły wzrok mój wstrudzony, buty wrosły w ziemię — ani w przód, ani w tył, ani w bok.

Przez kuchenne okno wyglądała zniecierpliwiona twarz matki o rozchyłonych wargach, które jakby szeptały: „Gdzie on jest, gdzie...”

Zateśkniałem do ojcowskiej przystani jakbym tam miał znaleźć ukojenie i zaniosły mi moje nogi, same nie dotknięte jeszcze jaskółczym szybowaniem, do miejsca nienaruszonej naruszalności Biedaka Zesztywniałem. Gazeta, co ja miałem pod pachą upadła w błoto tuż obok moich butów. Ojciec siedział na pieńku do rabania drewna. Głowę zwiesił na pierś ręce ugiął w loklach i na udach złożył obejmujące się dłonie. Sztwy model, przypominał mi troszczone staruszka w kościelnej ławie który nie mogąc ukleknąć, wsiadł, mamrocząc słowa modlitwy. To siedział człowiek, a człowiek przecież nie umiera. Ludzie tylko raz się rodzą i raz na zawsze umierają. Nieee...!

I oto jest moja największa i najszlachetniejsza poezja — życie. Nieprawda, zakłamanie, obłuda, oszukiwanie, pozoractwo, aktorstwo, naśladowanie, nerwica, drgawka, przyzwyczajenie, moda, lenistwo, niegracja, trzepotanie się nienaturalność, strach, apopleksja, gehenna, udawanie, granie, zgadywanie, szukanie, z łóżka wstawanie, odnawianie, rozubudzenie, przysiadanie, siadanie, wstawanie, łuskanie, obłuskiwanie, wyluskiwanie, złuskanie, wydalanie, patrzenie, oglądanie, obrastanie, wyrastanie, koncentrowanie, dekoncentrowanie, spanie, stukanie, obmacywanie, dezorientowanie, obudzenie, rachowanie, pisanie, czytanie, logarytmowanie, pierwiastkowanie, dodawanie, mnożenie, dzielenie, odejmowanie, parabolizowanie, hiperbolizowanie, sinusoidalne obieganie, opalanie, zapalanie, sztachanie, upijanie, kupowanie, sprzedawanie, handlowanie, bieganie, pobiesanie, wyrwanie, grzmoczenie, ruchanie, przedwieczorne skandowanie, uczenie, poznawanie, studiowanie, licealizowanie, podstawówkowanie, przedszkolakowanie, urodzinowanie, planowanie...

Ot, życie!... Stałem nieruchomo, wpatrując się w ojca. Stałem na pomiętej gazecie, na sobie samym stałem...

Władimir Receptier

ZMARTWYCHWSTANIE

To, być może, najlepszy czas wieku naszego. Razem ze wszystkimi, kto nam drogi, weźmiemy się do pracy. Nie zatańczymy, jak kto nam zagra.

Nam na sercu kładzie się Odnowa, opowiemy się za nią słowem honoru, nie wyaplamy, o czym mówi plotka. Oto jak ludno w każdej hali.

Przemilczmy, ustępując łamy gazet tym, których dawno brakowało, którzy wolali nieskazitelnej, niż my ze swojego pośmiertnego więzienia.

Cześć i miejsce dla Was, Anno Andriejewna! Wy oplakaliście tak niezłaśnie bez sądu oszczędzonych na piekło. Waszym słowem i kamieniem dźwięczą.

Niech, co wie, dopowie
Twardowski,
Prawdomówca Smoleński,
Moskiewski —
od nieprawdy, Boże, uratuj! —
I całą Sprawiedliwą Ruś.

Niech obyczaj doskonałych wydan kontynuuje Borys Leonidycz, dobry na każdy czas.
Odzywaj się, żywa struno!

Niech rozewrze się czarna jama, i GULAG siewróci Mandelstama. I Cwetajewa choć na przekór, choć na chwilę przebaczenie przyśle.

Kto wiedziałby w nieme noce do akcentowanej zgłoski ochoczy, że między nami pojawi się tu Chodasewicz, Iwanow, Nabokov, Gumilow... Zrewidowanych terminów nam nie policzyć, jak szczęśliwych minut.

Cóż, bliskich wzywając z obczyzny w swoim języku, złotym i jedynym, czyż staniami się słabsi niż dawniej? Nie, zaiste. Czas nadszedł, prawe słowo, które jest czynem. Prawy czyn, którego imię — los.

Wrzesień 1987

ŻAŁOBNY LAMENT PO MATCE I BRACIE

Nie zatrzymasz tych żaren. Obok szpitala, oto i słyszę jęk. Mieszkanie zabierając i prawa, śmierć nadąca obsłużyć rejon.

Coraz ostrzej słychać chrząst i skrzypnięcia, to nie lopata szepcze w piasku — to grobowa zgarniarka ochrypla już na wietrze, niesyty czerpak kości polyka bryły i grudy.

Tu epoka goną epokę, i na cmentarzu ciasno bez dżumy. I nie ma wojny, i oto ona, a w obronie najlepsze umysły.

Buszuje płomień w paleniskach trzech pieców, mistrz ceremonii ma gotową mowę, tu krematorium — fabryka mów, decyduj się natychmiast — spalić cię, czy położyć.

Zatrute powietrze jadem i czas to jad, i płuć niedobra mieszanka, i tam, już poza śmiercią, matka moja i brat, i rówieśnicy moi weszli w śmierć.

Zachrypli Hamlet umarł, upuściwszy nam na ręce swój współczesny płaszcz. I dopóki jestem żywy, niech dźwięni mój żalobny lament.

Wspominamy martwych, bliskich obejmujemy — niech, kto potrafi, chowa się i kłamie — my tych, co służą śmierci, przeklinamy i będziemy żyć, nie wiedząc, czyja teraz kolej.

Przepląną lata i nadejdą nowe, przez żar pieców i pracę rolnika zrozumieły, jak okrutna jest wojna, kiedy wszystkie dyty pokonają śmierć.

1988

Przeszedłszy przez prozę, muzykę zawierzę podwodniom i skrzypce.

I upadły anioł zaśpiewa o przeszłej wojnie, i niepotrzebny o mnie kuplet wychrypli przez pomyłkę.

Obudzimy się w południe i znów przesiedzimy do późna; przeszedłszy przez prozę, wszyscy spóźnieni na wojnę; w nas, maruderach, zbyt późno zbudziła się wina, ta sama, którą przed wojną zgrzeszyliśmy.

Jesteśmy żywi i winni, więc trzeba odkupić się. Zegnajcie, bracia, i my byśmy za was ginęli.

Przeszedłszy przez prozę, muzyka znów grzmi, a ledwo jej starczy na ratunek naszych dusz.

Uratuj je, muzyko, szumem oceanu. Kanale szczepią kły, późno poczuwszy grozę.

Zbyt późno obudziliśmy się, lecz już w kawalki rozzerwana zasłona. Teraz my dośpiewamy co trzeba, przechodząc przez prozę...

Jak beznamiętny mały kot ociera się o nogę, wypróbowałeś moją dobroć, tak wygina się strofa mego wiersza, czując pokrewną duszę.

Jak kot o zajęcej sierści przyszedł ku bezzębnej smudze drzewi, tak gorące skrzepy żywego ciepła trącają moje ramię — otwórz.

Napić wodą, nawet kęsem się podzielić, żywa istota pomaga żywym. Reguły życia znamy, a nie ma kiedy żyć. Dlaczego więc stoimy na progu?

Zbyt łatwo drogą miłości dostawałeś, rozpacz nie paliła i tęsknota nie skarżyła się w kominie, nie torturowała namiętność, nie męczyły cię katusze pokrewności — i wydawało się, że to prawda, a nie ty ma rację.

I nie to drogie, co zdobywa się łatwo. Lat nie policzysz, ty masz mleko pod wąsem. Nawet w imię dobra ja nie będę okrutny, ja po prostu odejdę, wrócę na ukochany wschód.

Tam, daleko, złoty, uzdrawiający znój, swoje dźwięczne skrzydła rozwinie nade mną, po odwiecznej pustyni płasek ostrożnie będzie płynął, wiatr zaprze mi dech, i nie policzysz pierwszych lat. Leningrad

Tłumaczyła Aleksandra Kowal

Władimir Receptier to poeta, którego wiersze mogą być nie tylko czytane, recytowane, ale i śpiewane, ponieważ — jak pisze P. Antokolski — są spełnione ekspresją żywego ruchu i dźwięczną artykulacją. Autor potrafi podporządkować się rytmowi swego wiersza, ale równocześnie zachowuje nad nim władzę. W wierszach, które dziś zamieszczamy, czytelnik zauważy, że Władimir jest doskonałym obserwatorem ludzkiego życia, potrafi przeobrazić się, zobaczyć w kimś innym siebie, a w sobie — drugiego człowieka. Jest czuły na przeobrażenia dokonujące się w kraju w dziedzinie literatury (wiersz „Zmartwychwstanie”), wstrząsa nim historia obłożonego Leningradu (wiersz „Żalobny lament po matce i bracie”). W jego poezji znajdujemy też echa specyficznej atmosfery epoki Szekspira, ale Władimir Receptier to przede wszystkim „żywy, współczesny człowiek, który duży widział w swoim życiu” (P. Antokolski).
Oryginały tych utworów znajdują się w tygodniku „Ogoniok” (nr 47/87).
(red.)

Bez klaki

Jedna laweczka i dwa niespełnienia

W POŁOWIE stycznia na scenie Reduty w Teatrze im. Osterwy odbyła się premiera „Laweczki” Aleksandra Gelmana, radzieckiego dramaturga i scenarzysty filmowego. Nazwisko autora kojarzy się polskim widzom z głośną w nieodległych czasach sztuką „Protokół pewnego zebrania partyjnego”, która trafiła do nas we wczesnych latach osiemdziesiątych, a więc była aktualna ze swą treścią na fali rozliczeń „góry” i „dolu” po zakładach pracy. Patrząc zatem na „Protokół” bardziej jako na przyczynek do dyskusji nad powodami demoralizacji narodu i sposobami uzdrowienia moralnego niż jako na dzieło sceniczne. Oczywiście, krytycy podejmowali także temat oceny walorów konstrukcyjnych tego rzadkiego w dzisiejszych czasach bądź co bądź produkcyjniaka. Głosy te jednak nikły wśród ocen dotyczących etyki zbuntowanej brygady i kierownictwa.
Dziś Gelman powraca do nas utworem znacznie mniej osadzonym w kon-

tekście historycznym, bliższym prawdy o człowieku w jego indywidualnym wymiarze niż ludzkiej zbiorowości w skomplikowanej strukturze oddziaływań.
Cała akcja „Laweczki”, uproszczona nawet wobec „Protokołu”, ogranicza się do prezentacji przypadkowego spotkania w parku w późny piątkowy wieczór dwojga ludzi — samotnej kobiety (Anna Swietlicka) i podpiętego mężczyzny (Henryk Sobiechart). Ale chociaż towarzyszymy im tylko przez kawalek letniej nocy, poznajemy ich z całym bagażem życiowych doświadczeń i obciążeń. Bohaterowie odsłaniają się w przewrotny sposób, bo w kłamstwie, podczas fałszowania swoich biografii, przyjmowania wciąż nowych ról, które są w tym samym stopniu projekcją marzeń, co nieuchronną konsekwencją ich dotychczasowego życia.
Wartość tego przedstawienia stanowi właśnie fakt owej wieloznaczności postaci, uzyskanej dzięki ciąglemu zaprzeczaniu przez nie własnym słowom. A widz ponad godzinę słucha tych kwestii, nie wiedząc, która z nich najprawdziwiej obrazuje tych ludzi, najpełniej wyraża intencje mówiącego. Przed publicznością otwierają się kolejne dna ludzkiej wiary w zatarcie bólu starych rozstań nowymi spotkaniami i kolejne piętra międzyлюдzkiego fałszu.
O żadnej wypowiedzi mężczyzny w tym przedstawieniu nie możemy wyrokować, czy to tylko taktyka podrywania, czy zwykły lęk przed obnażeniem siebie, uwikłanego w stare obowiązkami i nowe tęsknoty. Każdy kluff

mężczyzny przebijany jest nowym zmyśleniem, zacierając tym samym granicę, jaką w jego postaci dzieli cwaniactwo od życiowego zagubienia.
Tym samym sposobem zbudowana jest sylwetka psychiczna Wiery, przechodzącej chwilami w skrajność — od kobieciątka posługującego się tanimi sztuczkami w zdobywaniu mężczyzny, przez deklarującą tolerancję wobec partnera kandydatkę na żonę i zaraz łamiącą podstawowe zasady zaufania, aż po zdolną do wspaniałomyślnego gestu przyjaźni kobietę w końcowej scenie z ożarowaniem klucza.
O interpretację kolejnych wieleń bohaterów możemy się spierać, wykladać je na różne sposoby, odmiennie oceniać postawy, co stanowi zaletę każdej sztuki. Ten spektakl sygnalizuje problemy i prowokuje do rozpatrywania ich pod różnymi kątami, sam jednak niczego nie rozstrzyga i nie feruje jednoznacznych wyroków wobec bohaterów dramatu. Wielka w tym zasługa autora tekstu, jednak ciężar tak skonstruowanego przedstawienia dźwiga na sobie dwójka aktorów, występujących w tej jednej dużej scenie przy tytułowej laweczce. Akeji nie posuwają tu żadne wydarzenia zewnętrzne. Kształtują ją tylko słowa. Pulsowania serdeczności i wrogości, zaufania i obaw, ciągłych zbliżeń i oddaleń uczuciowych wyznaczają rytm spektaklu, stawiając tym samym trudne zadania aktorów przed wykonawcami. Ponadto musieli oni podjąć starania, by postacie Gelmana miały, przy całej typowości cech, rys indywidualny, a — z drugiej strony — by jednak mówiły po trosze o każdym z nas, by wreszcie stały się

świadectwem swoich czasów w rozumieniu socjologicznym.
Z zadania tego aktorzy wywiązały się każde na swój sposób. Rola mężczyzny poprowadzona została przez Henryka Sobiecharta realistycznie, natomiast Anna Swietlicka posłużyła się elementami przerysowań, oscylując w kierunku komedii. Dało to w efekcie dwie różne osobowości — bardziej „mroczną” kierowniczkę autokultury i trochę radośniejszą, naiwno-prostacką Wiery z zakładu pończosniczego. Być może wynikało to z decyzji samych odtwórców ról i ich emplot, a może było koncepcją reżysera (Paweł Lizut).
W tym przedstawieniu wyjątkowo harmonijnie ich wysiłki są wspomagane przez scenografa (Stanisław Chrzanowski). Na pierwszy rzut oka scenografia wydaje się tak skromna, że nie ma co o niej mówić — parkowa lawka, jakiś pomnik i koniec. Bohaterowie też nie noszą kostiumów teatralnych, ubrani jak na co dzień. Ale to tylko pierwsze wrażenie. Potem rozumiemy, że ta bardzo dopolita tandetność ubioru i otoczenia dookreśla postaci, że dopowiada całą sytuację. Trzeba było wykazać wiele zrozumienia dla wpływu realiów życiowych na stosunki panujące między ludźmi i ich pragnienia, aby tak skromnymi środkami powiedzieć tak wiele.
Mała scena naszego teatru zaludniła się w tym przedstawieniu żywymi ludźmi, odtworzonymi przez myślących aktorów.
Magdalena Janekowska

Okolice sztuki

„Wylegarnia kurcząt”

SZARA legenda realizmu socjalistycznego w Polsce ujmując ten okres pod postacią zwanego tłumem artystów, który popychany przez ideologów i urzędników, zwało kroczy ku lepszej przyszłości, nie zwracając uwagi na pojedynczych outsiderów.

Tymczasem różnie bywało w owych latach.

Na przykład w Lublinie, typowym wtedy mieście prowincjonalnym, z czterdziestu i kilku członków związku plastyków zaledwie jedna trzecia regularnie trudziła się malowaniem obrazów, wykonywaniem grafik oraz rzeźb, które stanowiły domenę może trzech osób. Większość tak była uwikłana w pracę nauczycielską i robotki użytkowe w ramach powstałej niedawno spółdzielni artystycznej, że ani myślała o wolnej twórczości, nie mówiąc już o malowanych deklaracjach politycznych.

Na uprawianie sztuki nie starczało zresztą miejsca, albowiem praktycznie nikt w mieście nie posiadał własnej pracowni. Takie pomieszczenie znajdowało się co prawda w mieszkaniu Władysława Filipiaka, ale częściej służyło mu za twierdzę, w której chronił się przed inicjatywą „towarzyską” dokwaterowanych tam lokatorów — wraskaliwych, agresywnych, pewnych siebie z wyroku dziejów. Inny malarz, żyjący w niebywalej ciasnocie w kamienicy przy ul. Okopowej, wyciągający swoje akwarele w zagracoonej kuchni, popadł z tego wszystkiego w taki stan ducha, że z siekierą goił mieszkanie z nim krewniaczką. Ciekawe, że nawet interwencje ministra Włodzimierza Sokorskiego u władz lubelskich nie zdołały polepszyć sytuacji artysty, choć namalował on „Moment z meczu”, obraz zgodny tematycznie z kanonem realizmu socjalistycznego i w ogóle dobry.

Owszem, podejmowano pewne próby, ty w puławskiej willi Piotra Wol-

lenberga, autora „Portretu Aleksandra Zawadzkiego”, urządzić dom pracy twórczej, nawet pod patronatem Zarządu Głównego ZPAP, ale wysiłki te przyniosły tylko połowiczne rezultaty. W końcu odstąpiono od sprawy, a Wollenberg wyjechał do Kielc.

Ale i malowanie pod gołym niebem, w plenerach Lublina, natrafiało na przeszkody w postaci patroli milicyjnych, które zgodnie z ogólniejszą dyrektywą nieufnością darzyły osobników notujących na płótnach strukturę przestrzenną obiektów publicznych w układach urbanistycznych.

Poza tym angażowano plastyków do zajęć pozaartystycznych, zachęcając ich mocno do udziału w agitacji na rzecz sprawnego skupu zboża i kontraktacji trzody. Związek, owszem, przejął się tym zadaniem, poszedł nawet dalej po tej linii i wytypował Dremonta, Filipiaka, Galysza, Jurkiewicza, Sarneckiego i Toronczyka (scenografa), by w czterech powiatach wykonali karykatury tamtejszych kulaków. Plastycy okazali się przecież oporni, pod byle pretekstem wymigiwali się od tego obowiązku, no i ostatecznie wyłączono ich z akcji, która miała zasięg ogólnopolski i obejmowała wszystkie formacje frontu ideologicznego, a zatem i twórców różnego autoramentu.

„Władze wiele od nas wymagają, niechże zrobią dla nas tyle, aby nam ułatwić zorganizowanie tej naszej pracy” — stwierdził więc kiedyś Józef Abramowicz, autor olejnych obrazów „Miasto dla wsi” i „Koparka”.

Nie taka znów prosta była też kwestia praktycznej realizacji założeń ideowych realizmu socjalistycznego. Jeden z lubelskich członków jury II Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki w Warszawie (1951) tak oto referował kolegom sens obrad tego gremium:

„Przyjmowano prace starych malarzy zasłużonych z pewną łagodnością, aby nie robić [im] przykrości. Przeszły: Warszawa i Pomorze. Wiele prac

robi wrażenie prac z zeszłego wieku. W tym roku surowo osądzono i odrzucono prace oparte na fotografii. Niesmak tudził także hurra-patriotyzm i przeladowanie czerwienią. Szczere podejście do tematu, zrozumienie bez zbytej symboliki robiło najlepsze wrażenie. Rzeźb było bardzo dużo, odpadło ponad dwie trzecie. Przyjęto dobre obrazy o obojętnym temacie. Obrazy tematyczne surowo sądzono pod względem ideologicznym”.

W szarej legendzie realizm socjalistyczny to bryła bez zmarszczek, dzieło urawniłowki i sztywnej doktryny, a tu patrzcie państwo: w wyjątkowo twardym okresie naszych wojennych dziejów mówi się publicznie o „przeladowaniu czerwienią” i z szacunkiem traktuje „dobre obrazy o obojętnym temacie”.

Mimo takiej wstępnej przepierki, II OWP została krytycznie przyjęta przez delegatów i gości V zjazdu ZPAP który odbywał się na tle wystawy w „Zachęcie”. Profesor Juliusz Starzyński, jeden z promotorów realizmu socjalistycznego w Polsce, zauważył, że ekspozycja „jest szara, brak barwy, obawa przed barwą, brak umiejętności rysowania”. Szef Państwowego Instytutu Sztuki wskazał zarazem, że „do historii sztuki polskiej wejdzie jeszcze »Lenin« Fangora”.

Może i wszedł, najpewniej to jednak wiadomo, że Wojciech Fangor wyjechał z kraju do USA.

Tam też, jak wiadomo, trafił później Jan Kott, który na wspomnianym zjeździe plastyków „wołał o upolitycznienie oka; polityczny podpis pod niepolitycznym obrazem nie tworzy socjalistycznej sztuki. Trzeba dostrzec przemiany naszego życia, a nie trzeba będzie pod krowami podpisywać, że są to krowy z PGR-u”.

W Lublinie nie rozważano kwestii „politycznego oka” w sposób tak wyrafinowany. Tutaj Stanisław Brodzia, prezes ZPAP i kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury, mężczyzna wielki, barczysty, wskazywał po prostu, że „koledzy, którzy nie malują kompozycji figuralnych czy portretu, mogą malować pejzaż ilustrujący współczesne przemiany naszego życia”.

Przedstawiając założenia wystawy 1-majowej, akcentującej jednocześnie dziesięciolecie PPR, Brodzia w istocie zapraszał koleżeństwo do marszu jego tropem. Oprócz bowiem takich obrazów, jak „Portret Józefa Stalina”, malował on najczęściej wła-

nie pejzaże, w niektóre tylko wpisując stosowny sztafaż („Odbudowa Kazimierza”).

Sytuacja kształtowała się w sposób daleki od poetyki strasznych rygorów ideologicznych, umożliwiając przyjmowanie na okolicznościowe wystawy nawet „Wylegarni kurcząt” szacowanej pani Lucji Balzukiewicz, która kiedyś, w młodości, przeszła przez paryską pracownię Olgi Boznańskiej, a w Lublinie osiadła po wojnie jako repatriantka ze wschodu. W omawianym okresie nikt nie ośmieliłby się zrobić tego z jej pejzażami co obecnie wychyniają utytułowani inteligeni — własnoręcznie „poprawiający”, i to mocno, obrazy pani Lucji.

Tamtych odległych czasów nie można wpisywać w jakieś skrajne schematy. Świadczą o tym dokumenty pisane i dzieła sztuki, które od dziesięcioleci spoczywają np. w magazynach lubelskiego Muzeum Okręgowego.

Przypuszczam, że przygotowując wystawę realizmu socjalistycznego pt. „Budujemy nowy dom...” placówka ta udostępni wreszcie publiczności choćby te obrazy, które w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych namalowali: Abramowicz, Brodzia, Balzukiewicz, Filipiak, Lukawski, Pakulski, Sarnecki, Kosioriewicz, Ziemiński czy Zwołakiewicz. Tymczasem „na Zamku” zobaczyłem coś w rodzaju pomniejszonej repliki koncepcyjnej niedawnej warszawskiej ekspozycji „Oblicza socrealizmu”. Owszem, zdecydowana większość prac wystawy lubelskiej nie była prezentowana w Muzeum Narodowym, wydobyta została głównie z magazynów pałacu w Kozłowie (malarstwo), ale wątek regionalny sprowadzono tu do mało ważnego aneksu.

Tak, naturalnie, „Budujemy nowy dom...” to wystawa interesująca, lecz przede wszystkim dla osób, które nie widziały rozległego pokazu w stolicy.

Nieco zawiedziony taką „ogólnopolską koncepcją” ekspozycji, raduję się przecież, że dano mi okazję zobaczyć trzech rysunków Stefana Zechowskiego, głównego ilustratora prozy Zagadłowicza. Dzięki temu wiem przynajmniej, że ascetyczny ponoc realizm socjalistyczny miał także inną wersję: z cicha erotyczna!

IJK

Wyrazić niewyraźne...

W GALERII „NOVA” na Starym Mieście, prowadzonej przez Jerzego Kostkę, została otwarta w grudniu wystawa fotograficzna Anny Kurowskiej-Krebs, lublińska, od kilkunastu lat mieszkanka Dortmundu, absolwentka tamtejszej Fachhochschule.

Są to dwadzieścia cztery portrety barwne, wybrany zestaw pn. „przebiegi czasu”, fragment „większej całości”, składającej się poprzednio z przeszło 40 prac, przygotowanej w roku 1987, a prezentowanej w Dortmundzie i Beethovenhalle Bonn.

Cykl portretowy, przedstawiony lubelskiej publiczności, ma niewiele wspólnego z tradycyjnym portretem fotograficznym, z tzw. „czystą fotografią”. Anna Kurowska uprawia bowiem tylko fotografię kreacyjną w rozumieniu malarskim. Psychoanalizy, metaforyczny portret fotograficzny wzbogacony jest nie tylko skomplikowanymi zabiegami technologicznymi — ciągle jeszcze z kręgu pracowni fotograficznej — ale także poprzez ingerencję w samo tworzywo: malowanie, ścięcie, niszczenie struktury emulsji. W przekonaniu, iż analityczne, poznawcze właściwości kamery, stają się tutaj mało przydatne i nieadekwatne wobec koncepcji twórczej.

Portrety w czerwonym i niebieskim tle są — z jednej strony — refleksją o człowieku — z drugiej zaś — ciągiem miniatur poetyckich, sfałszowanych opowieści o nastrojowych tytułach: „plaki”, „tylko spać” — realizowanych przy pomocy metaforycznych, chociaż czytelnych znaków.

Nie ulega wątpliwości, iż sprawny warsztat artystki zyskuje dzięki doskonałym materiałom barwnym Ciba-Chrom-Ilford. Nasycone czerwienie, tonowane czernie, „portrety w tle” — są — jak wspominałem — refleksją o człowieku, związkach przeszłości i pamięci, pajęczynie naszych myśli. Twarze pojawiają się, przepływają i od-

plywają. Pulsowanie czasu, kołowrót fascynacji i zapomnienia.

Nie tutaj miejsce, aby zajmować się typologią postaw artystów korzystających z fotografii, czy wypowiadających się jej językiem. Dla Anny Kurowskiej-Krebs fotografia jest tworzywem podatnym na nieograniczoną ingerencję. Stąd portrety nie są żadnym „zapisem obiektywnym”,

traktowanym w kategoriach fotografii — świadka. Punktem wyjścia dla tej twórczości jest zamysł, reżyseria, eksperyment, współistnienie mediów. Radość, że z pogranicza mediów, chaosu linii i znaków, powstaje nowa forma, nowy znak, inny od poprzednich. Oryginalny i czytelny.

Wśród wielu wystaw fotograficznych, które w ubiegłym roku oglądałem, portrety Anny Kurowskiej-Krebs posiadają cechy, które winna posiadać każda dojrzała twórczość: warsztat, przesłanie i oryginalną formę.

Uroku owym portretem dodają nastrojowe podpisy. Bowiem Anna Kurowska-Krebs jest poetką. Słowa i obrazu.

Zdzisław Toczyński



Z kim i przeciw komu?

Dokończenie ze str. 1

Stawiano na zwycięstwo Ententy (Francja, Anglia i Rosja) lub państw centralnych (Niemcy i Austro-Węgry). Ze zwycięstwem Ententy, a więc i Rosji, wiązały swe nadzieje organizacje skupione wokół Narodowej Demokracji. Lider tego obozu, Roman Dmowski, zakładał, że zwycięstwo Rosji przyniesie zjednoczenie ziem polskich w granicach państwa carów. Polacy pozbędą się dwóch pozostałych zaborców, a odebranie ziem polskich Niemcom i Austrii zrodzi antagonizm niemiecko-rosyjski. Skłócona z Niemcami, Rosja we własnym interesie będzie musiała pozyskać Polaków, nadając autonomię Królestwu Polskiemu, poszerzonemu o Galicję i zabór pruski. Koncepcja Dmowskiego wyrastała też z przekonania, że głównym antagonizmem Polski i całej Słowiańszczyzny są Niemcy, tępiący Polaków w Wielkopolsce, a Austro-Węgry są tylko słabym, uzależnionym od Niemiec państwem, rozsądzanym przez konflikt wewnętrzny.

Logiczna, jak zawsze u Dmowskiego, koncepcja „zjednoczenia” miała także słabe strony. Dla dominujących na dworze carskim nacjonalistów rosyjskich „istotnym ruskim krajem” była zarówno Chłomszczyzna i Podlasie (wydzielone z Królestwa przed wojną), jak Galicja Wschodnia. Zjednoczona „pod jednym berłem” (według przeciwników: „pod jednym batem”) Polska obejmowałaby Wielkopolskę, Śląsk i Pomorze, ale nie było w niej miejsca dla Chełma, Zamościa i Przemyśla, o Lwowie i Wilnie nie wspominając.

Antyniemieckiej i prorosyjskiej koncepcji Dmowskiego obóz zwany „niepodległościowym”, skupiony wokół Polskiej Partii Socjalistycznej (Frakcji Rewolucyjnej) i Pilsudskiego, przeciwstawiał orientację antyrosyjską i proaustriacką. Zakładając zwycięstwo państw centralnych i klęskę Rosji, liczone na przyłączenie zaboru rosyjskiego do monarchii habsburskiej. Minimaliści liczyli chociażby na rozciągnięcie galicyjskiej autonomii na ziemie Kongresówki, maksymaliści — na przebudowę Austro-Węgry w Austro-Węgro-Polskę z rządem i sejmem w Warszawie, z koronacją Franciszka Józefa, cesarza Austrii i „apostolskiego króla Węgier”, na króla Polski. Wszak w żylach Habsburgów płynęła także krew Piastów...

Słabą stroną tej koncepcji było m. in. nieuwzględnienie w pełni postawy Niemiec. Co prawda liczone się z tym, że zabór pruski nie znajdzie się w granicach nowego polskiego państwa, ale nie brano pod uwagę niemieckich roszczeń do zachodnich i północnych ziem Królestwa Polskiego, czy Litwy, i niechęci Niemiec do rozrostu terytorialnego ich austro-węgierskiego sojusznika.

Obie koncepcje były też robione „bez gospodarzy”, bez liczenia się z planami wojennymi i politycznymi państw zaborczych, dla których „sprawa polska” nie należała do kwestii pierwszoplanowych i które w czasie wojny, jak długo to było możliwe, starały się jej nie podejmować na forum międzynarodowym. Przeciwnikami tworzenia jakiegokolwiek (nie mówiąc o suwerennym) polskiego państwa państwowego byli zarówno nacjonalista rosyjski, jak niemiecki, zaś w państwie Franciszka Józefa — większość polityków węgierskich, obawiających się utraty swej dotychczasowej pozycji w dualistycznej monarchii.

Przy analizie obu koncepcji uderza ograniczoność polskich aspiracji, zarówno w stosunku do tego, co uzyskano w 1918 r., jak i w porównaniu z programami z okresu powstań narodowych. Słowo „niepodległość”, nawet jeżeli padło w tych programach, miało bardzo ograniczony sens. Z czego to wynikało? Starano się realnie ocenić istniejący układ sił, a ponadto pamiętać, że polskie zrywy powstańcze, a także rewolucja 1905—1907 r., zakończyły się niepowodzeniem, represjami, pogorszeniem warunków narodowej egzystencji.

Pierwsze lata wojny wydawały się potwierdzać racje tych, którzy w swych oczekiwaniach nie szli zbyt daleko. Do listopada 1916 r. sprawa polska nie wypłynęła na powierzchnię międzynarodowego życia politycznego. Tymczasem sytuacja ziem zamieszkałych przez Polaków ulegała istotnym zmianom. Od lata 1915 r. Kongresówka, a także ziemie na wschód od Bugu z dużymi skupiskami ludności polskiej, znalazły się w wyniku działań wojennych pod okupacją Niemiec i Austro-Węgier. Mimo braku oficjalnych deklaracji w sprawie polskiej, kwestia budowy polskiego państwa państwowego pozostawała aktualna. Dotychczasowi zwolennicy współpracy z carską Rosją (nazywani złośliwie wyznawcami orientacji „szerokotorowej”), po jej klęskach w 1915 r., zajęli stanowisko „prokoalicyjne”. Nadal twierdzili, że państwa centralne wojnę przegrają, a o losach Polski zadecyduje zwycięska Ententa. Nie rezygnowano z maksymalistycznego programu zjednoczenia ziem polskich. Odrzucono jednocześnie możliwość współpracy politycznej i wojskowej z państwami centralnymi, aby nie kompromitować sprawy polskiej przed zwycięską w przyszłości Ententą. Nie bez znaczenia była też chwila przed „powrotem Taty” — wojsk i władz rosyjskich. Od biernej postawy wobec władz okupacyjnych nazywano ten obóz pasywnym.

Przeciwnikami pasywnistów byli aktywiści — obóz obejmujący zarówno ugrupowania niepodległościowe (PPS, Polskie Stronnictwo Ludowe), zwane lewicą aktywistyczną lub niepodległościową, jak też ukształtowane już w czasie wojny aktywistyczne

centrum — płynne i składające się z wielu drobniejszych partii i ugrupowań. Wyrazem wojskowej i politycznej współpracy aktywistów z państwami



centralnymi były Legiony Polskie, walczące w składzie cesarskiej królewskiej armii austro-węgierskiej. Dowódcą I Brygady Legionów (istniała jeszcze II i III Brygada) był Pilsudski — polityczny i ideowy przywódca całego obozu niepodległościowego i jednocześnie komendant Polskiej Organizacji Wojskowej. Pod okupacją starano się budować

polski organizm państwowy „od dołu” — poprzez sieć organizacji politycznych, społecznych, wojskowych, samorządowych oraz oświatowych.

Niejednolity wewnętrznie obóz aktywistyczny w 1915 r. opowiadał się, mniej czy bardziej otwarcie, za budową państwowości polskiej, złożonej z Galicji i zaboru rosyjskiego, „pod berłem Habsburgów”. Nawet lewica uważała za możliwe pogodzenie monarchii z demokracją. Brak deklaracji w sprawie polskiej ze strony Wiednia budził wszakże wątpliwości co do celowości angażowania się po stronie słabszego z państw centralnych, a narastające niezadowolenie z rządów okupacyjnych powodowało radykalizację programów stronnictw niepodległościowych. Jednocześnie nasilały się tendencje do szukania oparcia o Niemcy, coraz to wyraźniej dominujące nad monarchią naddunajską.

Akt 5 listopada 1916 r., o czym niżej, nie tylko przerwał milczenie rządów w sprawie polskiej, ale zapoczątkował ścisłą współpracę i deklaracje meżów stanu i gabinetów. Jakby chciano odrobinę ponad dwuletnie milczenie. Przyszło orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona ze stycznia 1917 r., deklaracja rosyjskiego Rządu Tymczasowego i Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, dekret prezydenta Francji o utworzeniu Armii Polskiej, oświadczenia i dekrety władz Rosji radzieckiej, kolejne orędzie Wilsona ze stycznia 1918 r., deklaracje ze strony państw Ententy. Przy tym zmieniającą się szybko sytuacją militarną i polityczną. I stare dylematy: jaka Polska? Z kim i przeciw komu budowana?

Listopadowa (1916 r.) zapowiedź utworzenia państwa polskiego u boku i pod hegemonią Niemiec, poparta powołaniem w styczniu 1917 r. Tymczasowej Rady Stanu (TRS), skupiała wokół tej ostatniej obóz aktywistyczny (w TRS znalazł się m. in. Pilsudski) i zanęcała, a nawet podzielała pasywnistów. Jeżeli już powstawała polska instytucja państwowa — rozumowali pasywiści — to dobrze byłoby mieć w niej swoich ludzi, a nie oddawać jej w całości w ręce przeciwników politycznych.

Rozwój wydarzeń w 1917 r. rozwiał związek z TRS nadzieje aktywistów i obawy pasywnistów. Rada, w której ze strony polskiej chciano widzieć instytucję rządową, nie otrzymała od władz okupacyjnych żadnych uprawnień. Stawało się oczywiste, że państwa centralne, a właściwie Niemcy, w których rękach znalazła się „polityka polska” okupantów, nie mają zamiaru tworzyć państwa polskiego przed końcem wojny. Tymczasem rewolucja lutowa w Rosji i oświadczenia strony rosyjskiej o prawie Polaków do własnej państwowości spowodowały kryzys wśród aktywistów. Dotychczas uzasadnieniem związku z państwami centralnymi była konieczność walki z carską Rosją, jako przeciwnikiem polskiej państwowości. A teraz? Wszyscy zabórzy uznali, wprowadzić z różnymi ograniczeniami, prawo Polaków (na razie tylko z zaboru rosyjskiego) do własnej państwowości, ale ziemie polskie znajdowały się w granicach lub pod okupacją państw centralnych i one stanowiły główną przeszkodę w budowie państwa Polaków. W Rosji powstała wszak Komisja Likwidacyjna do Spraw Królestwa Polskiego, powstawały korpusy polskie, za zgodą Rosji tworzone armie polskie we Francji, a w Paryżu działał Komitet Narodowy Polski.

Dla Pilsudskiego stało się oczywiste, że dalszy związek z państwami centralnymi jest sprzeczny z interesem Polski, że oddała, a nie przybliżyła budowę państwa, że wreszcie grozi utratą oparcia w społeczeństwie. Republikański program polityczny lewicy niepodległościowej był już w połowie 1917 r. nie do pogodzenia z monarchiczną formą proklamowaną 5 listopada 1916 r. Królestwa Polskiego.

Zerwanie obozu Pilsudskiego z aktywizmem odbyło się w sposób spektakularny i dramatyczny. Najpierw demonstracyjne wystąpienie z TRS, a następnie akcja na rzecz odmowy przysięgi przez żołnierzy Legionów. 22 lipca 1917 r. Pilsudski i Sosnkowski zostają aresztowani przez Niemców, a kilka tysięcy legionistów z Królestwa, którzy odmówili złożenia przysięgi, znalazło się za drutami Szczyplona i Benjaminowa. „Opóźni” poddani austriackiej Legionowi trafili do c. i k. armii (gdzie nie uznano ich stopni wojskowych z Legionów) i znaleźli się na froncie włoskim. W obzie niepodległościowym, u swoich początków antyrosyjskim, potem także antyaustriackim, ugruntowała się również orientacja antyniemiecka, słowem: rzeczywistość niepodległościowa i „trójzaborowa”.

Przegraną przez Niemców „kartę polską” podjęli latem 1917 r. Austriacy. Radykalizacja nastrojów na ziemiach polskich w 1917 r., wymuszona kryzysem przysięgowym i dymisją TRS, kroki państw centralnych w pożądanym przez Polaków kierunku — przekazanie sądownictwa i szkolnictwa, powołanie Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego — skłoniły wielu dotychczasowych pasywnistów do współpracy z okupantami, zwłaszcza że była to współpraca z c. i k. monarchią, państwem katolickim, zachowawczym, nie obciążonym antypolską polityką świeżej daty, jak Niemcy. Kropką na „i” postawił wybuch rewolucji proletariackiej w Rosji. Na Wschodzie szalejąca rewolucja, w kraju rosnące wpływy lewicy. Trzeba było, zdaniem kół zachowawczych, budować polski organizm państwowy, w oparciu o mocarstwa centralne, których armie chroniły Polskę przed rewolucją, aby w momencie zakończenia wojny dysponować armią, aparatem administracyjnym i porządkowym, słowem: utrzymać własnymi siłami dotychczasowe stosunki społeczne. A jeżeli można, to jednak nie wiązać się za bardzo z państwami centralnymi... „Nowy aktywizm”, jak nazywano ten kierunek, miał bardzo wyraźne oblicze społeczne i bardzo mętne rysy polityczne. Umiarkowanie proaustriacki, antyniemiecki, z ciągłymi prokoalicyjnymi, za to wyraźnie antyrewolucyjny.

Tymczasem lewica, i ta niepodległościowa, i coraz częściej dochodząca do głosu lewica rewolucyjna, wiązały już swe nadzieje z rewolucją rosyjską, z perspektywami rewolucji europejskiej, z dążeniami narodów Europy do zakończenia wojny.

Na początku 1918 r., pozbawione swego przywódcy, kierownictwo obozu niepodległościowego robiło pierwsze próby do objęcia władzy w wyzwolonej Polsce. Przyjmowano, że załamanie państw centralnych nastąpi jesienią 1918 r. lub wiosną 1919 r. i że pierwsze padną Austro-Węgry. Od tej zatem strony, od Galicji i okupacji austriackiej w Królestwie, należało zacząć wyzwalamie ziem polskich.

W tym samym czasie państwa centralne zgótowały najbardziej bolesną niespodziankę swym zwolennikom. W traktacie brzeskim, podpisanym 9 lutego 1918 r., przyznały Podlasie i Chłomszczyznę państwu ukraińskiemu.

Traktat brzeski spowodował falę burzliwych manifestacji i wystąpień we wszystkich zaborach na skalę niespotykaną od rewolucji 1905 r. Odpowiedź na pytanie, przeciw komu i z kim budować państwo polskie, stawała się coraz łatwiejsza. Zwłaszcza na pierwszą część tego pytania. Nie była to jednakże odpowiedź tak łatwa, jakby się nam dzisiaj, czy chociażby z perspektywy końca 1918 r., wydawało. Sytuacja z marca 1918 r. różniła się zasadniczo od realiów z jesieni tego roku.

Państwa centralne zakończyły bowiem zwycięsko wojnę na Wschodzie. Ich armie stały w Odessie, Kijowie, Rostowie nad Donem, Mohylowie, Połocku i Dorpacie. A właściwie część dotychczasowych sił, bowiem najlepsze formacje przerzucano na Zachód. Niemcy przygotowywali ofensywę we Francji, a Austriacy we Włoszech. Armia rosyjska, więziona przez trzy lata znaczne siły państw centralnych, nie istniała. Rosja była pogrążona w kataklizmie wojny domowej, a nowej, radzieckiej władzy żaden z powadnych polityków nie rokował długiego żywota...

Wielu polityków uważało, że jeśli nawet Niemcy przegrają wojnę na Zachodzie, to i tak pozostaną panami sytuacji na Wschodzie, zatem także na ziemiach polskich. Stąd jeszcze próby kontynuowania polityki aktywistycznej, w oparciu o Niemcy, przez kolejne gabinety Rady Regencyjnej.

Nej one jednak, ze swoimi projektami państwa polskiego, zbudowanego z okrojonej na rzecz Niemiec Kongresówki i poszerzonego na wschodzie, nadawały ton życiu politycznemu ziem polskich w czasie ostatniego półrocza „wielkiej wojny”. Niepowodzenia Niemiec i Austro-Węgier we Francji i Włoszech ożywiały polskie nadzieje na kres obcego panowania. Przeszła istnieć dylemat, pod którym berłem, w którym zaborczym organizmie budować „polski Piemont”, od jakiego zacząć się jednocześnie ziem trzech zaborów. Program Polski zjednoczonej, z demokratycznym ustrojem wewnętrznym, zdobył sobie zdecydowaną przewagę. Oczywiście stało się również, że trzeba ją budować przeciw istniejącym jeszcze państwom zaborczym. Z kim? Tutaj odpowiedź była znacznie bardziej różnicowana i złożona. Z rewolucją czy przeciw niej? Z narodami dawnaj Rzeczypospolitej czy przeciw nim?

Stosunkowo łatwo przyszła odpowiedź na pytanie: kiedy? W końcu października 1918 r. klęska państw centralnych i ich kryzys wewnętrzny nie budziły wątpliwości. Klęska wszystkich zaborców i nowe realia końca 1918 r., realia ukształtowane pod wpływem rewolucji w Rosji, Niemczech, Austrii i na Węgrzech, zmuszały do innego sformułowania odpowiedzi na pytanie: z kim i przeciw komu? Nie było mocarstw zaborczych, nie trzeba było walczyć przeciw nim i szukać przeciw jednemu zaborcy oparcia w drugim. Podstawową siłą, o którą można było oprzeć się w procesie budowy własnej państwowości, stało się własne społeczeństwo. W nowej sytuacji końca 1918 r. pojawili się nowi przeciwnicy i trzeba było szukać nowych sojuszników Polaków.

Pozostał nadal istotny dylemat — jaka Polska? Ale decyzje o politycznym i terytorialnym kształcie Rzeczypospolitej zapadły po zakończeniu „wielkiej wojny”, po listopadzie 1918 r.

Jan Lewandowski

Cholerny Rambo!

SYLVESTER Stallone nie tylko na ekranie, ale i jeśli chodzi o „kronikę towarzyską”, był w ubiegłym roku wszelkimi rekordy. A dokładniej: on i jego żona, dżugonoga modelka Brigitte Nielsen.

Dwa lata temu, 15 grudnia 1985 r., muskularny Rocky-Rambo wziął ślub z o wiele młodszą od siebie i o dziesięć centymetów wyższą, dwudziesto-dwuletnią Dunką, rozpoczynając w Stanach Zjednoczonych karierę modelki, Brigitte Nielsen. Aby to uczynić, musiał rozwiść się z dotychczasową żoną. Co kosztowało go połowę kolosalnej fortuny, jaką w ostatnich latach zbił ten niezwykle popularny na Zachodzie aktor, a także scenarzysta, reżyser i producent; ekranowe wcielenie ambitnego boksera Rocky i piekielnie odwatnego komandosa Rambo, walczącego w azjatyckich dżunglach.

Panna młoda marzyła, podobno, o zdobyciu Sylwestra Stallone na swoją wyłączną własność już od dziesięciu lat. To znaczy od chwili, gdy jako dwunastoletnia dziewczynka ujrzała w którymś z duńskich kin potężne bicepsy kruczołosego, bitego na ringu na marmolade, ale później jednak zwyciężającego „nadludzki wysiłkiem” Rocky'ego.

Nic dziwnego. Stawa Sylwestra Stallone rosła z roku na rok; po pewnym czasie był on już niemal bohaterem Ameryki i sam prezydent Reagan, zaprosił go kiedyś na obiad, klepał słynnego aktora po ramieniu, powtarzając z uznaniem: „Cholerny Rambo!”

Znalazł się w Stanach Zjednoczonych, już jako osoba dorosła, Brigitte dopóty tropiła swego idola, dopóty wysyłała mu własne zdjęcia z dołączonymi do nich słowami uwielbienia oraz numerem telefonu, aż Rambo wysłał jej do Nowego Jorku zaproszenie na wspólną kolację w Los Angeles. Piękna Brigitte pojawiła się na owej, odległej o kilka tysięcy kilometrów „randce”, ani okiem nie mrugnawszy. No i się zaczęło. Rambo oszalał od pierwszego wejrzenia na punkcie jasnowłosej Dunki...

Po kilku miesiącach znajomości, której towarzyszą wiernie najlepsi fotoreporterzy z największych światowych magazynów ilustrowanych — upragniony ślub. On po odejściu od ołtarza oświadcza: „Kocham Brigitte; to ekstrakt kobiecości!” Ona stwierdza: „Kocham Sylwestra. To mój narkotyk!” Alłści uczucie przesłoniła na chwilę chłodna chmurka. Bo oto jeszcze przed ślubem Stallone wymógł na swojej narzeczonej, aby, podpisując ślubny kontrakt, rzekła się zarazem jakichkolwiek roszczeń finansowych, gdyby małżeństwo rozpadło się. Rocky-Rambo dobrze pamiętał, ile wyciągnęła z niego poprzednia małżonka przy rozwodzie.

Za to zrzeczenie Sylvester zaproponował Brigitte coś w rodzaju pensji. I to (co podkreślał jako szanujący się biznesmen) pensji wciąż rosnącej. Im Brigitte będzie dłużej jego żona, tym większą z każdym rokiem kwotę będzie otrzymywała. Tę kwotę określił Stallone na około siedemset tysięcy dolarów rocznie. Ale to nie wszystko. Jego przyszła małżonka miała dostawać milion dolarów za każde urodzone dziecko. A gdyby Stallone rozstał się z życiem, otrzymałaby tytułem ubezpieczenia — sto czterdzieści milionów dolarów... I — powiedział Sylvester — albo, albo! Albo Brigitte podpisuje, albo nie! do ślubu. Polując na te goryczy, Brigitte podpisała.

Nastąpiły pierwsze miesiące małżeństwa. Brigitte zaczęła grać w filmach Stallone'a; zamieszkała w pięknej willi z dziewięcioma łazienkami i dwiema salami gimnastycznymi.

Stallone, dbał o swą imponującą muskulaturę, która przynosi mu, pośrednio, tak wiele pieniędzy, ćwiczył codziennie w swoim „laboratorium piękności” przez pięć godzin. Brigitte polecił ćwiczyć — przez dwie godziny.

Po pięciogodzinnych ćwiczeniach Rocky-Rambo udawał się do swoich biur i do wytwórni filmowej. A gdy późnym wieczorem wracał do domu, był już tak zmęczony, tak spięty nerwowo, że jedyną formą „rozładowania się”, na jaką umiał się zdobyć, było robienie kosmicznych awantur młodej małżonce. Brigitte nie należała do tych, którym można jeździć po głowie. Toteż „sprzeczki małżeńskie” osiągały takie rozmiary, że służba domowa, już po usłyszeniu pierwszych krzyków, salwowała się paniczną ucieczką do ogrodu.

Brigitte pocieszała się po tych awanturach wydawaniem pieniędzy. A czyniła to z takim rozmachem, że już w cztery miesiące po ślubie przepuściła całą roczną

„pensję” i musiała prosić męża o zaliczkę a konto przyszłego roku. Nie wywołało to zachwytu u potrafiącego dobrze liczyć Sylwestra. Na dodatek Stallone okazał się być człowiekiem piekielnie zazdrośnym. Brigitte musiała mu się opowiadać, kiedy i dokąd wychodzi. A nie miała, na dodatek, prawa ruszyć się nigdzie bez pilnującego każdego jej kroku, osobistego „goryla”. Jej rozmowy telefoniczne były na podsłuchu. Zaczęła zdawać sobie sprawę z faktu, że wyszła nie za bohatera swych dziecięcych marzeń, nie za symbol męskości, lecz za chorobliwego zazdrośnika i maniaka własnej muskulatury.

Skądinąd tę drugą „namiętność” można było zrozumieć o tyle, że przez całe lata ojciec Sylwestra powtarzał mu, wpędzając chłopaka w kompleksy: „Gdy się ma taką puszkę w mózgu jak ty, to oczywiście nie pozostaje nic innego, jak tylko dbać o mięśnie!” Co zresztą sprawiło że Stallone postanowił udowodnić ojcu, jakie można wyciągnąć korzyści z własnych mięśni. Nawiasem mówiąc z tego artystyczno-financeowych późniejszych pociągnięć wynika, że i głowę ma nie od parady.

Stallone należał do tych dzieci, które w oczach swoich rodziców wszystko, czego by się tknęły, robią źle. I nawet kiedy już jako dorosły człowiek zaczął robić karierę i pieniądze, było to niemal obrazą dla jego rodzonej matki, która nie szczędziła przed dziennikarzami złośliwych uwag na temat syna.

Kochająca małżonka mogłaby, jeszcze zrozumieć różne kompleksy i reakcje wynikające z mało udanego dzieciństwa Sylwestra, jego napady gniewu, przesadne przywiązywanie wagi do sprawy własnej godności itp., itd. Gorzej było jednak ze zrozumieniem, gdy szło o sprawy małżeńskie. Już podobno pierwsza żona, Sasha, wdychała w sposób wiele mówiący: „Gdybyż tylko Sylvester przypominał Rocky'ego. Wtedy wszystko wyglądałoby między nami inaczej!”

Brigitte, niestety, nie wystarczały do wyładowania energii tylko codzienne, dwugodzinne ćwiczenia gimnastyczne. Pieniądze też nie były dla młodej kobiety jedynym panaceum na nudę. Nic dziwnego, że zaczęła i w ogóle puszczać pieniądze na prawo i lewo w sposób zaczynający wręcz zagrażać interesom finansowym męża. Stallone w końcu zamknął jej kredyt w banku, a na dodatek zabronił wychodzić z domu. Chyba, że w jego towarzystwie. Co więcej: zwolnił ze służby wszystkich mężczyzn, którzy byli wyżsi i bardziej od niego umięśnieni. Wszystkim natomiast, którzy pozostali, nie wolno było nosić w obecności żony obcisłych spodni. Itp., itd.

Cóż miała począć w tej sytuacji biedna Brigitte? Nic innego, jak wdać się w romans... ze swoją osobistą sekretarką Kelly Sangher!

Wszystko by się może powoli jakoś ułożyło, gdyby nie teściowa, która pewnego dnia przylapała obydwie panie „in flagranti”. „Jak śmiesz, bezwstydnico, prowadzić się w ten sposób pod bokiem mego syna!” — zawołała ze zgrozą starsza pani Stallone. Na co synowa odparła bezzwłocznie: „A co mam robić, skoro twój syn to — jako kochanek — kompletne ZERO!!!” Po czym rozpoczęła się zażarta bójka na pięści i służba miała sporo trudu z rozdzieleniem dwóch rozjuszonych kobiet.

Oczywiście rzecz cała rozniosła się błyskawicznie po Hollywoodzie, jak długi i szeroki, a Stallone'owi nie pozostało nic innego, jak wnieść pozew o rozwód.

Władomość o tym fakcie doszła — nawiasem mówiąc — Brigitte w Rzymie, gdzie prywatna sieć telewizyjna Berlusconi zaproponowała jej królewski kontrakt za występy w telewizyjnych programach. Zaczęła też przygotowywać się do nagrania płyty z piosenkami, wśród których jedna nosi wiele mówiący tytuł: „Co moje części ciała mówią o mnie?”

Jesienią odbyła się w Paryżu premiera amerykańskiego filmu „Beverly Hills II”, gdzie Brigitte partneruje Eddie Murphy'emu. Na wiosnę 1988 r. Brigitte Nielsen ma zamiar wrócić do Hollywoodu, aby kontynuować karierę aktorki filmowej. Zapewne z tego właśnie powodu wyraża się ostatnio na temat swojego byłego męża mniej złośliwie. A nawet zdarza jej się twierdzić, że małżeństwo z Sylwestrem Stallone było „piękną przygodą”. W co absolutnie nie wątpić, nie mogą się, na zakończenie, powstrzymać od filozoficznej refleksji, że nie zawsze „marzenia dziewcząt” o spotkaniu na swej drodze życia „prawdziwego mężczyzny” kończą się w sposób całkowicie dla nich udany.

Cholerny Rambo!

Oprac. M. D.

Ekran i widz

Inteligentni ale dzicy...

NIEDAWNO wielka popularnością wśród młodszych widzów cieszyła się „Wielka draka w Chińskiej Dzielnicy” amerykańskiego reżysera Johna Carpentera. Film należący do gatunku tzw. zwariowanej komedii a sięgający tematycznie do kina walki kung-fu. Kina, które od kilku lat przenosiło się z Dalekiego Wschodu do Ameryki i Europy, i zaczęło tutaj robić — także dzięki osobowości Bruce'a Lee zawrotną, choć chyba raczej krótkotrwałą, karierę.

„Wielka draka w Chińskiej Dzielnicy” zadziwiała mistrzostwem rozgrywanym tam pojedynków, cyrkową zręcznością aktorów a nie mniej — nieprawdopodobną zręcznością reżysera, który po raz pierwszy jał się takiego właśnie tematu. Teraz na ekranach kin idzie „Gwiezdny przybysz” Carpentera, również cieszący się wielką popularnością i wzbudzający podziw dla profesjonalnych umiejętności jego twórcy. Tym bardziej, że „Starman” (bo taki jest oryginalny tytuł „Gwiezdnego przybysza”) różni się diametralnie od „Wielkiej draki...”. Jest filmem z gatunku science-fiction, wzbogaconym jeszcze o elementy komediowe i spowitym mgiełką refleksyjnej zadumy nad względnością naszej ziemskiej cywilizacji, której rozwojem tak się chlubiemy.

Nawiasem mówiąc, John Carpenter (a oglądamy już jego czwarty film) za

każdym razem jawi się nam w odmienny sposób. Choć zawsze sięga do „filmu akcji” bez wglębiania się w problemy społeczne, polityczne czy moralne społeczeństwa amerykańskiego, które wszak w swoisty sposób, portretuje, to zawsze ów „film akcji” odwołuje się do różnych stylów: różnych gatunków filmowych. Natomiast wszystkie filmy Carpentera łączą jeden mianownik: jest nim spojrzenie na to co się dzieje wokół, poprzez pryzmat fantastyki.

Pierwszy prezentowany w Polsce film Carpentera „Ucieczka z Nowego Jorku”, to bardzo swoisty thriller „wieloznaczny”. To ponura „turpistyczna” wizja wspaniałej światowej metropolii, sprowadzonej do roli gigantycznego, odgradzonego od reszty kraju wysokimi murami obozu do którego wtraca się, na zawsze, szczególnie groźnych przestępców i gdzie zostaną oni pozostawieni samym sobie. Teraz mogą do woli wzajemnie się mordować lub grabić. Nie ma drogi ucieczki z upiornego Nowego Jorku. Z jednym tylko wyjątkiem: dla głównego bohatera filmu, ratującego prezydenta Stanów Zjednoczonych którego samolot rozbił się przypadkowo właśnie w samym sercu miasta skażonych.

W powstałym w tym samym co „Ucieczka...” 1981 roku, „automobilowym” horrorze „Christine” głównym bohaterem

Świat nastolatków amerykańskich

Pistolet zamiast pięści

DWA tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia siedemnastoletni Kendall Merriweather został zastrzelony w pobliżu swojej szkoły w Waszyngtonie. Wkrótce potem policja zastrzymała sprawców — dwóch jego rówieśników. Zastrzelili oni Kendella, próbując odebrać mu tranzystorowe radio. Kilka dni wcześniej w Pasadenie w stanie Texas czternastoletni uczeń szkoły średniej wyciągnął z kieszeni pistolet i przez dwie godziny przetrzymywał w charakterze zakładnika swojego nauczyciela. Policjanci stwierdzili że chłopiec „czuł się załamany” po niedawnym rozjeździe się rodziców. W styczniu br. przechodnie znaleźli na przystanku autobusowym ciało trzynastoletniego Rolando Mattie z Oakland w Kalifornii. Policja uważa iż był on pośrednikiem w handlu kokainą i poszukiwiec pięciu innych członków młodocianego zanzu.

Nie są to przypadki odosobnione. W całej Ameryce liczba dzieci sięgających po broń rośnie w alarmującym tempie. Jak utrzymuje Ministerstwo Sprawiedliwości, w 1985 roku ponad dwadzieścia tysięcy młodych ludzi, w wieku od dwunastu do piętnastu lat, padło ofiarą zbrojnych napaści. Ekspertci stwierdzają przy tym że, choć tak szokujące, dane te nie odzwierciedlają w pełni zakresu problemu.

W ostatnich latach ulice miast zarzucone zostały nierejestrowaną bronią, dostępną dla każdego, bez względu na wiek, za drobną opłatą. W Nowym Jorku można kupić rewolwer na rogu ulicy za ledwie dwadzieścia pięć dolarów. Niektórzy pośrednicy są nawet skłonni

„wypożyczać” pistolet na wieczór, odkładając uregulowanie należności do czasu, aż młody człowiek zdobędzie pieniądze, rabując, na przykład, sklep. Młodzieżowe gangi w Los Angeles pilnują rejonów swego działania przy użyciu zdobytych na czarnym rynku karabinków półautomatycznych Uzi.

Dzieci żyjące poza obszarami miast mają jeszcze łatwiejszy dostęp do broni. Wystarczy tylko sięgnąć do szuflady w biurku ojca. W Kalifornii 38 proc. gospodarstw domowych wyposażonych jest w karabiny. Często rodzice nie zdają sobie sprawy, że ich magnum 357 czy strzelba zniknęły.

„Broń znowu stała się modna — twierdzi ekspert Garen Wintemute, lekarz z Sacramento. — Rosnące przypadki noszenia broni przez uczniów odzwierciedlają tylko zmnożone zainteresowanie bronią w całym kraju”.

Największą fascynację młodzieży broń obszaruje się jednak wśród uczniów miejskich szkół średnich. Ubiegłej wiosny w Baltimore nowo mianowana sędzina okręgowa Ellen Heller tak przejęła się liczbą przestępstw związanych z użyciem broni, że poleciła zbadanie jej używalności w szkołach. Wyniki przeszły najśmielsze przypuszczenia: na trzystu dziewięćdziesięciu ankietowanych uczniów 64 proc. utrzymywało, iż zna kogoś, kto nosił broń w ciągu ostatniego półroczu 60 proc. znało kogoś, kto na terenie szkoły został postrzelony, sterroryzowany lub obrabowany przy użyciu broni, a niemal połowa chłopców przyznała, iż miała przy sobie broń przynajmniej raz.

rem jest niesamowity samochód, limuzyna z lat pięćdziesiątych, obdarzona morderczymi skłonnościami. W okrutny sposób potrafiła ta piekielna maszyna rozprawiać się z właścicielami, którzy źle ją traktują lub w jakiś sposób urazili jej poczucie godności. Potrafiła się także na oczach widzów błyskawicznie „regenerować”, przelastczając się z kompletnego wraku w lśniący lakierem i nikłem pojazd, z którego wnętrza dobiegają dźwięki rozrywkowej muzyki lat pięćdziesiątych. „Christine” była filmem budzącym niesamowite poczucie grozy, opierającym się na irracjonalizmie, choć przecież reżyser wykorzystywał do stworzenia takiego właśnie nastroju triki filmowe znane niemal od czasów Meliése.

W „Wielkiej drace w Chińskiej Dzielni”, przy całej amerykańskiej rodzi „wariackości” tego filmu, Carpenter sięgał przede wszystkim do daleko-wschodniej baśniowości. „Gwiezdny przybysz”, powstały rok wcześniej niż „Wielka draka...”, nosi znamiona stylizacji i tematyki spielbergowskiej. Ten spod znaku „Bliskich spotkań trzeciego stopnia” oraz „E. T.” Ale Carpenter jest tutaj w gruncie rzeczy zupełnie inny niż Spielberg. Nie ma w nim owej fascynującej skądinąd, ale zarazem coraz bardziej irytującej z filmu na film, postawy reżysera-dziecka, dla którego kine to wspaniała, mechaniczna, lecz w gruncie rzeczy bezduszna zabawka. „Gwiezdny przybysz” jest chyba przede wszystkim (przy swoich odniesieniach do science-fiction) filmem głęboko humanistycznym. I także humanitarnym. U podstaw jego filozofii leży czynienie dobra. Dobra — którego pojęcie jest znane i obowiązuje nie tylko na planecie zwanej Ziemią...

Reżyser oparł pomysł na głośnym skądinąd fakcie wysłania z Ziemi przez NASA w 1977 r. w przeźrzej kosmiczną specjalnego pojazdu, zawierającego przesłanie do innych ewentualnych cywilizacji z wezwaniem do nawiązania kontaktu. Znalazły się tam nagrane na specjalną płytę pozdrowienia w wielu



Z filmu „Gwiezdny przybysz”.

językach, podstawowe wzory matematyczne, schemat budowy istoty ludzkiej, a także zarejestrowane przemówienie ówczesnego sekretarza generalnego ONZ.

Kurta Waldheima. Kapsuła kosmiczna wyruszyła w przestrzenie międzygwiazdne i trochę już o niej dzisiaj zapomnieliśmy. Tymczasem John Carpenter

przypomina nam o tym fakcie. Oraz o tym, że rzeczy uznane za niemożliwe nieraz się jednak zdarzają. I oto właśnie, za sprawą jego filmowej wyobraźni, jedna z cywilizacji pozaziemskich odebrała nasze przesłanie i postanowiła wysłać do nas specjalną ekspedycję...

Dlaczego w pewnej prowincjonalnej amerykańskiej miejscowości pojawił się tylko jeden kosmita który na dodatek chce jak najszybciej połączyć się z krążącą gdzieś na orbicie swoją bazą kosmiczną? Reżyser nie stara się nawet wyjaśnić. Zresztą w tego rodzaju filmach nie jest to problem najważniejszy. Zaś w „Gwiezdnym przybyszu” chodzi przede wszystkim o to, aby kosmita przemierzył kawał Stanów Zjednoczonych w drodze na umówiony ze swymi pobratymcami kosmodrom. I nauczył się w trakcie tej podróży — kim jest naprawdę Człowiek. A przy okazji także kim jest kobieta.

Aby tego dokonać, pozaziemska kłota musi przeistoczyć się w Ziemiannina. Ze zaś przypadkowo przybiera postać zmarłego męża pewnej młodej, atrakcyjnej wdowy, musi to oczywiście zao-wocować całą serią zabawnych sytuacji, scenek oraz gagów.

Podczas opętającej podróży — wraz ze swą ziemską towarzyszką — samochodem w stronę kosmodromu „Gwiezdny przybysz” (wbity w nietrwałą choć — jak się okazuje — całkiem przyjemną, cielesną powłokę) górujący nieporównywalnie rozwojem inteligencji i wiedzą nad nami Ziemiannami, stwierdza w pewnym momencie (zresztą z całą sympatią do ludzkiego rodu): „Jesteście inteligentni, ale bardzo jeszcze dżicy!”

I dywagacje na temat filmów Johna Carpentera ze szczególnym uwzględnieniem „Gwiezdnego przybysza”, można zakończyć taką oto, nasuwającą się nieodparcie, refleksją: przeglądając się z satysfakcją w lustrze, spójrzmy na siebie — także oczyma kogoś z zewnątrz.

M. D.

Miasta o mniejszym niż Baltimore zagrożeniu też mają swoje powody do zmartwień. Dwadzieścia lat temu najgorszy element nosił w szkole co najwyżej nóż. Dziś dopiero posiadanie pistoletu stanowi gorliwie podchwytywany symbol rangi i władzy. Zjawisko to umacnia jeszcze klimat strachu, jaki wywołuje broń w klasie. Podobnie jak dorodzi, wielu uczniów utrzymujących, iż nie posiada kryminalnych inklinacji, zaczyna nosić broń jako narzędzie samoobrony. Jednak dziecko, które uważa, iż ubezpiecza się w ten sposób, w istocie naraża się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Jak wykazują statystyki, ludzie uzbrojeni padają częściej ofiarą strzelaniny niż osobnicy nie posiadający broni.

„Pistolet może dać człowiekowi poczucie władzy i wrażenie bezpieczeństwa — mówi psycholog z Houston Rion Hart. — Z drugiej zaś strony posiadacz broni nie zdaje sobie sprawy, co może się stać, dopóki to coś się nie wydarzy. Wtedy bywa już jednak za późno. Nagle w polowie klótni, którą kiedyś załatwiano za pomocą pięści czy, w najgorszym przypadku, noża, rozlega się loskot strzałów, a na placu pozostają okrwawione zwłoki”.

Tak właśnie zginął piętnastoletni Darnagan Young. Oskarżył on starszego o dwa lata kolegę o to, że uderzył jego przyjaciółkę. Pomówiony wyciągnął 32-milimetrowy rewolwer i zaczął strzelać. Young obficie krwawiąc, zdołał przebież zaliczonym korytarzem do drzwi, ale w drodze do szpitala zmarł. Często nawet skromniejsza prowokacja wystarcza, by zaczęły świstać kule. „Należy być przygotowanym — mówi piętnastoletni uczeń z Baltimore, dumnie prezentując swoją Baretę kaliber 25. — Ludzie mogą strzelić do ciebie z powodu twojego płaszcza, twoich pierścionków, twojej bransolety czekolki-wie”.

W poważnym stopniu wzrost użycia broni wiąże się z handlem narkotykami. „Kokainowe gangi są lepiej uzbrojone niż niejeden komisariat policji” — mówi William Newberry inspektor kryminalny z Los Angeles. Policja utrzymuje, iż jest rzeczą w pewnym sensie naturalną, że uliczna zbrodnia przelewa się do szkół.

W gettach dochodzą jeszcze głębsze frustracje społeczne. Dzieci z rozbitych rodzin lub środowisk nędzy widzą w broni jedyną szansę wzbogacenia się czy przetrwania własnych kompleksów. Jednocześnie stale prezentowanie

gwałtu w telewizji i jego obecność na ulicach hartuje je na skutki przemocy.

„Dzieci o nic nie dbają i uważają, że ich życie posiada nikłą wartość” — mówi Clementine Barfield, której syn Derick znalazł się wśród siedemdziesięciu siedmiu nastolatków zastrzelonych w Detroit w ciągu ostatnich dwóch lat. Barfield założyła organizację SOSAD (Ratujcie Naszych Synów i Córci), by uczulić społeczeństwo na istotę problemu. „Musimy walczyć o przemianę społeczne tak, jak robiliśmy to w latach sześćdziesiątych — mówi. — Tracimy całe pokolenie dzieci”.

Mniejsze miasta i miasteczka nie stanowią wyjątku. W sierpniu 1987 roku dwunastoletni chłopiec zraniał na ulicy w Corpus Christi w Texasie maklera giełdowego. Najbardziej zaszokował ofiarę sposób, w jaki chłopiec w stylu Clint Eastwooda zdmuchnął dym z lufy, a potem wsiadł na motocykl i odjechał. W DeKalb w stanie Montana dwunastoletni Nathan Farris przyniósł pewnego dnia do szkoły 45-milimetrowy półautomat ojca szukając zemsty na koleżdzie, który wyśmiewał jego tuszę. Farris postrzelił trzynastoletnią (który próbował osłaniać potencjalną ofiarę), a potem sam się zastrzelił. Dr Deborah Prothrow-Stith, kurator Wydziału Zdrowia stanu Massachusetts przypisuje podobne reakcje „bytniej tolerancji społecznej” na gwałt. „W telewizji pokazujemy, że walka jest czymś wspólnym, że jest nagradzana i podejmowana przez bohatera jako jedyny środek rozwiązywania problemów — mówi. — Nie mówimy tylko o tragedii, jaka winna towarzyszyć podejmowaniu takich działań”.

Bez względu na przyczyny władze uważają używanie broni przez nastolatków za tendencję trudną do zahamowania. Detektory metalu kontrolę o-schiste czy wzmożona czujność nie wyeliminowały pistoletów ze szkół. Jeszcze gorzej wyladała sprawa na ulicach Miasta Boston wyemitowała ostatnio w telewizji slogan brzmiający: „Jeśli zachcesz swojego przyjaciela do walki również dobrze mógłbyś go sam zastrzelić”. Ale reklamówki nie wystarczą, by uchronić szkoły przed przelastczaniem się w nowoczesne salony. Dopóki pistolety będą równie łatwo dostępne jak słodycze, dzieci w każdym wieku znajdować się będą stale w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Na podstawie tygodnika „Newsweek” (nr 2/88) opracował W. H.

Kajet literacki

O humorze

PEWIEN wesół, mądry pisarz skarżył się przede mną na brak zrozumienia. Słuchałem uważnie, ponieważ sądziłem, że prawdziwi artyści powinni być naiwni i powinni z tego choćby tytułu domagać się zrozumienia i nowoczesnej przyjaźni.

— Pisząc swoje pierwsze powieści, chciałem stworzyć przede wszystkim utwory wesole, dowcipne na luzie — tłumaczył mi z właściwą mu ed czasu do czasu powagą. — Nie jest ważne w tej chwili, czy mi się to udało, czy nie. W każdym razie taki był mój młodzieńczy zamiar. O tych książkach napisało kilkadziesiąt recenzji chwalało mnie za różne drobiazgi, ale nie za humor lub choćby weselość czy przynajmniej weselkowość, pał to sześć!

— A może twoje dowcipy śmieszyły tylko opowiadającego? — spytałem.

— Wcale nie, człowieku. Mam na to dowody. Otóż pewien krytyk wygłosił odczyt o mojej powieści cytując fragmenty, wprost dusił się ze śmiechu, ale o humorze czy kornizmie nie powiedział ani słowa.

— To było niepoważne — przyznałem i pożegnałem drogiego koleżkę po fachu.

Mijały lata, galopowały wydarzenia. Znowu spotkałem starego znajomego i spytałem jak tym razem jego interesy stoja.

— Marnie — mówi. — Nagle odkryto, doceniono i przeceniono mój dobry humor. Skoro bywałem wesóły w latach siedemdziesiątych więc widoczne byłoby oblaconym czy osłupionym heroldem propagandy sukcesu.

— Masz ci babo płacek — krzyknąłem, a smutny humorysta zapytywał

frasośliwie, mnożąc pytania jak sam Hamlet:

— Kto się właściwie śmieje? Czy śmieje się epijasta z radości, czy raczej pesymista, bo wszystko tylko śmiechu warte? Śmiech nigdy nie jest jednoznaczny.

— Masz rację. Ponury i straszny diabeł uczonych demonologów w baśniach ludowych nabiera cech komicznych. Podobnie jest u Boscha i nie tylko u niego. Zdaniem Freuda, poczucie humoru bierze się z naszej podświadomości, ale z seksem nie ma dużo wspólnego. Wiadomo przecież że humor, komedia i śmiech nokautują najjęźszych amantów — zażartowałem na koniec.

— Nie wyglupiaj się — powiedział humorysta z powagą. — Kępiński twierdzi, że lekarstwem na wszelkie lęki i poczucie zagrożenia jest zmysł humoru lub postawa transcendentna: „Dystans w stosunku do zagrożenia, który osłaga się poprzez postawę humoru lub transcendencji działa porządkująco na hierarchię ważności, dezintegracja małeje, a z nią lek zwłascza jego komponent dezintegracyjny. Obie postawy, dzięki tkwiącej w nich miłości do świata rozrywają więzy leku. Człowiek czuje się znów wolny, ma świat przed sobą, świat który go przyciąga swą rozmaitością barw i form i swoją wieczną zmiennością i tajemnicą”.

Słuchałem uważnie co przytaczał mój niepoważny znajomy i jednocześnie dziwiłem się że najbardziej przekonany był mnie te uwagi wyrażone w książce o lękach i przerażeniu.

Wojciech Olczak

kamera

11

Horoskop Stelli

Dobrej zabawy!

23 lipca — 22 sierpnia



ON: Wydaje ci się, że jesteś stworzony do rządzenia, najchętniej wydałbyś dyspozycje innym, nawet tym, którym służbowo podlegasz. Może dlatego nie masz bliższych przyjaciół, a przecież — wbrew pozorom — zależy ci na ludziach. Trudno ci

cokolwiek wytłumaczyć, twój upór bywa męczący dla otoczenia — zarówno w pracy jak i w domu. Im jesteś starszy, tym bardziej cenisz pieniądze, które zdobywasz bez większego wysiłku zarówno fizycznego jak i umysłowego.

Bieżący rok będzie podobny do ubiegłego pod warunkiem, że bardziej zadbasz o swoje zdrowie. Atmosfera domowa ulegnie poprawie, ale i ty musisz pójść na pewne ustępstwa. Urlop z całą rodziną, zmiana otoczenia mogą mieć zbawienny wpływ na dalsze życie małżeńskie.

Szczęśliwe liczby to 6, 8, 19, 36 i 36.

ONA: Praca przynosi ci dużo zadowolenia, ale mimo to czujesz się niedowartościowana. Masz jednak na tyle samokrytycyzmu, że w gruncie rzeczy zdajesz sobie sprawę, iż nie kierują tobą głupi od siebie. Dlatego też uważasz, że nie jest tak źle, jak — w chwilach słabości — myślisz.

Wśród mężczyzn cieszysz się dobrą opinią, niektórzy uważają cię za wyjątkowo solidną małżonkę, ale są przecież sytuacje, w których wolalabyś uchodzić za bardziej przystępną. Koledzy traktują cię jak dobrego kumpła, ale ty byś pragnęła, aby dostrzegali w tobie również i kobietę. Chyba odrobina załotności z twojej strony nie zaszkodzi. Ta uwaga szczególnie odnosi się do panien, zwłaszcza tych, które nie wiedzą, jak sprokować lub ośmielić mężczyzn. Staropanieństwo na razie nie grozi, ale lata mimo wszystko też w miejscu nie stoją.

Szczęśliwe liczby identyczne jak u mężczyzn urodzonych pod znakiem „Lwa”.

23 sierpnia — 22 września



ON: Gubi cię brak prostoty. Jeżeli publicznie wyrażasz swoje myśli, czynisz to często w taki sposób, że słuchający żalują, że nie mają pod ręką słownika wyrazów obcych, a przecież w tych obcych językach wcale nie jesteś zbyt biegły: znasz jedynie

niektóre zwroty. W istocie rzeczy twoja wiedza nie należy do głębokich.

Błędy, popełnione w przeszłości, czegoś cię nauczyły, bardziej się kontrolujesz, choć w dalszym ciągu nie doceniasz innych. Krytyczne opinie, jakie o nich wyrażasz do swych bliższych znajomych, nie są utrzymywane w tajemnicy. Pamiętaj, że plotka może być bronią obosieczną. Gdy ktoś zechce cię zaatakować, znajdzie dziesiątki powodów.

Wobec kobiet jesteś na ogół dość nieśmiały, trudno cię zaliczyć do zdobywców serc. Może wpłynęły na to dotychczasowe niepowodzenia erotyczne, a może przyczyny, o których ty tylko sam wiesz. Na szczęście żonę masz wierną, ona jedna nie widzi twoich wad. W końcu trudno ci narzekać.

W tym roku nic cię specjalnego nie czeka. Ewentualnie podróż zagraniczna, może nawet służbowa. Wykorzystaj ją lepiej niż dotychczasowe podróże.

Szczęśliwe liczby: 21, 27, 43, 45, 47.

ONA: W pracy jesteś dokładna i solidna, poważnie traktujesz swoje obowiązki. Fochy objawiasz raczej w domu, na szczęście dla otoczenia niezbyt często. Gdy wpadniesz w złość, z trudem panujesz nad sobą. Kobiety urodzone pod znakiem „Panny” często postępują tak, jakby się urodziły pod różnymi znakami zodiaku: jedna bywa niezwykle wprost monogamistką, inna — wręcz przeciwnie. Wszystkie jednak lubią seks, niekiedy wyrafinowany. Biada mężczyźnie, który im nie sprosta!

Szczęśliwe liczby: 3, 9, 11, 27, 28, 42.

23 września — 22 października



ON: Lubisz osiągać sukcesy zawodowe, ale jeszcze bardziej na niwie społecznej lub politycznej. Wprawdzie nie należysz do tych, co to „po trupach”, ale też i swoich przeciwników zbytnio nie oszczędzasz. Twoje przekonania są dość stałe, z

trudem naginasz się do nowych prądów, ale jesteś na tyle mądry, że potrafisz zachowywać się elastycznie. Niekiedy zbytnio ulegasz tym, którym w jakiś sposób podlegasz. Nie sądzisz, że „w razie czego” będziesz mógł na nich liczyć. Jeśli sam się nie obronisz, od nikogo nie oczekuj pomocy.

Rodzina stanowi dla ciebie dobre oparcie. Twoja zapobiegliwość opłaca się, choć żona niekiedy uważa, że mógłbyś zrobić jeszcze więcej niż robisz. Nie daj się wpuszczać w maliny.

W tym roku żaden awans cię nie czeka, ale nie denerwuj się: jeśli nie popełnisz błędu, wszystko jeszcze przed tobą. Poważnij jednak obce języki. Za rok, dwa możesz żalować, że zmarnowałeś tyle czasu!

Szczęśliwe liczby: 20, 30, 40, 48, 49. Nie czyń zbyt wielu planów urlopowych, bo w ostatnim momencie mogą one obrócić się w niwecz.

ONA: Najchętniej siedziałabyś w domu, uważasz, że praca zupełnie niepotrzebnie zajmuje ci czas, może też dlatego zbytnio się do niej nie przykładasz. Owszem, spełniasz swe obowiązki zawodowe, ale tylko tak, aby się nie przemęczyć. Na awans więc nie licz, choć cuda się zdarzają.

Szkoda, że masz niezbyt docenia twoje kulinarne zdolności, ale z tego powodu nie musisz mu tego ciągle wymawiać. Nie należysz do kobiet kłótliwych, wolisz, aby tobą kierowano. Jeśli trafiłaś na odpowiedniego partnera, nawet nie wychodzisz na tym źle, niektóre jednak kobiety spod znaku „Wagi” niemało się proszą o silną rękę!

Szczęśliwe liczby: 2, 12, a także liczby od 40 wzwyż. Szczęśliwy miesiąc — grudzień.

Krzyżówka nr 3 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie fragmentu tekstu pochodzącego z książki znanego pisarza. Imię i nazwisko tego pisarza dzieła, z którego pochodzi cytowany tekst utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

- zbroja rycerska — 91. 69. 31. 130. 17. 2. 89.
- ogłoszenie — 3. 14. 44. 132. 100.
- lubelski dopływ Wisły — 9. 46. 145. 102. 142. 81.
- symboli rzeczy krótkotrwałej — 26. 1. 32. 43. 136. 97. 85. 66. 148.
- centrala telefoniczna — 20. 113. 83. 101. 53. 62. 185. 38.
- Łubelski jest w woj. tarnobrzeskim — 6. 89. 106. 8. 127.
- czerwcowy solenizant — 7. 41. 22. 29. 146. 120.
- państwo skandynawskie — 13. 84. 24. 74. 144. 16. 55.
- motyw działania, pragnienie — 25. 57. 65. 81. 88. 28. 18. 107.
- równowartość, rekompensata — 12. 27. 95. 117. 82. 140. 34. 76. 139. 123.
- trwała wspólnota ludzi (np. Polaków) — 4. 87. 30. 143. 112.
- złudzenie — 33. 45. 63. 109. 90. 133.
- długo żyli w Irlandii — 10. 47. 35. 54. 21. 141. 80. 118.
- miasto z dwóch serii australijskich — 15. 137. 103. 39. 53.
- coś z runa leśnego — 120. 94. 116. 23. 59.
- dzień postarzenia się o rok — 72. 37. 60. 114. 79. 56. 86. 73.
- miasto wojewódzkie — 52. 96. 122. 49. 36.
- napęd łodzi — 134. 147. 131. 108. 129. 115.
- prezes rady ministrów — 121. 48. 64. 119. 77. 93. 71.

- uwiedziona przez labędzia — 66. 67. 78. 50.
- w kącie pokoju — 110. 40. 124. 5.
- miasto w Ukr. SRR znane z historii Wojska Polskiego — 62. 139. 125. 99.
- pozaplanowy wolny czas w szkole — 104. 111. 70. 128.
- kierowca — 61. 98. 105. 51. 42. 75.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 1000 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Tak samo nie rozumiałem pomyłonych. Niby wiedziałem, że coś popsulo im się w głowie, że nie da się tego naprawić jak śleczkarni czy młynka do czyszczenia zboża, ale nie rozumiałem, czemu ta choroba nie jest zaraźliwa jak suchoty, jak kłuszk.

Tadeusz Nowak — „Diabły”

Nagrodę wylosowała Monika Salatowska, ul. Króla Leszczyńskiego 17a/12, Lublin.

		1	2	3	4	5	6	7		8	9	10	11	12	13
14	15		16	17	18		19	20	21	22	23		24	25	26
27		28	29	30	31	32	33	34	35	36		37	38	39	40
41	42		43	44	45	46	47	48		49	50		51	52	53
54	55	56	57	58		59	60	61	62	63	64	65		66	67
	68	69		70	71	72	73	74	75	76		77		78	79
80	81	82	83	84	85	86	87		88	89	90	91	92	93	94
95		96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107		108
109	110	111	112	113		114	115		116	117	118	119	120		121
122	123	124	125		126	127	128	129	130	131	132	133		134	
135	136	137	138		139	140	141	142	143	144	145	146	147	148	

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgóski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Deracki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie), Ireneusz J. Kamiński, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Ceban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. „KWN” w Lublinie, ul. Ustecka 4.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 264-36.

Adres redakcji: 20-088 Lublin, ul. Skłodowska 51. Telefon: sekretariat redakcji 234-93, sekretarz redakcji 218-63, dział publicystyki i literacki 274-36. Korespondencje wysyłaj kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, pocztowa i ekspresowa — pod adresem redakcji.

Zam. 140 20.1.83 A-5